Ks. Arcybiskup Teodorowicz.

Katolicyzm a Cywilizacya.

WARSZAWIE

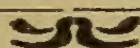
...wdzięcznej i trwałej pamięci

autor.

Katolicyzm a cywilizacya.

Ze zjazdu pisarzy katolickich
w Warszawie.

Arcybiskup J. Teodorowicz.



Katolicyzm a cywilizacya.

WARSZAWA.
Wydawca: Seweryn Saryusz-Zaleski.

1907.

W Drukarni Noskowskiego, Warecka № 15.

Ktoś, kto z innej części Polski tu do Warszawy przybywa, czuje się owładnięty i dokoła ścieśniony jakby istną falą nawalną uczuć i wrażeń.

I jakżeby mogło być inaczej?

Jakżeby nie miały przemówić i zagrać tysiącem ech na duszy i sercu przybysza, te miejsca przez swoją tak wymowną tradycyę, przez swe obecne życie, mimo całych pozorów rozstrzelenia i rozbicia się, tak jednak skupione w natężonej myśli. A wreszcie przez swoje nadzieje.

Lecz ledwo chciałbym, przemawiając po raz pierwszy do was, wypowiedzieć wam to wszystko, co mą duszą w tej chwili i miota i wtrząsa, a już się czuję bezsilnym i słabym.

Przyczyna tego łatwa do zrozumienia.

Boć te mnogie uczucia, skoro się je chce na język przełożyć, już ustępują miejsca tylko jednemu, które jak błyskawica uderza potężnie w duszę i już się więcej na luźne słowa i zdania przełożyć nie daje.

To jedno uczucie, pozwólcie, że zamknę też w jednem tylko słowie; w pozornej swej szacie najpowszedniejsze słowo, w które jednak wszystko kładę:

Witam i pozdrawiam Warszawę...

. . . .

Zaprosiliście mnie, Panowie, bym przemówił na obecnym wiecu katolickim, który jest poświęcony zagadnieniom katolickiej literatury i prasy.

O ile mi miłem było wezwanie wasze, o tyle jednak nie tak łatwo mi przyszło stawić się na nie.

Boć lęk miałem i obawę, czy mówiąc o zagadnieniach najdelikatniejszej natury, was tak żywo obchodzących, potrafię zestroić myśl moją z myślą waszą, a zarazem uniknąć niebezpieczeństw i szkopułów, jakie niesie ze sobą konieczność dotykania stosunków, z któremi się bezpośrednio nie zżywa.

Ostatecznie wahania moje zwyciężył wzgląd, iż właśnie dzięki pewnemu oddaleniu od Was, zdołam do waszych narad przynieść to, co oddalenie ułatwia, umożliwia: mianowicie perspektywę myśli.

Ta zaś, tam zwłaszcza jest potrzebną, gdzie pierwsze narady po długiem milczeniu, z natury rzeczy, bywają zaprawiane wrzątkiem uczucia, które, przy braku jasnych i ścisłych konturów, może łatwo spowodować jednostronność w pojęciach, a zaostrzenia lub rozdziały nawet w bratnim obozie.

I nie dziwiłbym się też wcale, gdybym rzeczywiście u was na ferment silny się natknął.

Boć przecie wiem dobrze, że nieraz najpiękniejsze kwiaty marnieją, skoro coby się rozwijać miały na słońcu i powietrzu, dojrzewać muszą w piwnicznej wilgoci.

I ilekroć widzę, iż programy wasze noszą w sobie jakiś zaczyn drażliwości, ilekroć w myślach waszych odpoznaję więcej niepokoju uczucia aniżeli ścisłości logiki, nieokiełznanego wrze-

nia aniżeli światła i wytrawności, więcej podszczuwań osobistego pierwiastku co zawsze w prawdzie coś podejrzywa, aniżeli objektywności, nie dziwuję się; boć myśli tych otuleniem duszne, ciasne, tłoczące środowisko katakumbowe.

Obrady wasze, którym się przysłuchiwałem i udział żywy brałem, utwierdziły mnie tylko w postawionej dyagnozie, ale zarazem napełniły otuchą. Bo znać w was wielki głód prawdy — i szukanie kierunków.

Iluż to z was zjechało się na ten wiec, prawie że zaimprowizowany, a jakie żywe było wasze zainteresowanie się w dyskusyach, jaka żądza formalna, by posłyszeć i uzbierać potrzebne wskazówki, jaka wreszcie gotowość szlachetna do ustępstw w zdaniach i zapatrywaniach.

Wierzajcie mi: szlachetne pragnienia wasze, by wspinać się ku kręgom światła, bodźcem być muszą każdemu, kto do was przemawia; były też dla mnie szczególniej silnym i żywym, aby z wami wespół łamać chleb prawdy z całą szczerością i wylaniem, nie obawiając się jakichś tendencyjnych uprzedzeń.

To też będę do was mówił tak, jak was na to przysposobionymi znalazłem; będę mówił bez obaw, czując wokoło siebie środowisko ciepłe, przyjazne, wprost rodzinne; będę dotykał waszych błędów bez osłon, waszych ran bez skrupułów, waszych potrzeb bez zbytniego odważania i cyzelowania słów, wiedząc, że zostanę zrozumiany.

Przemówienie zaś moje chcę poświęcić omówieniu idei wytycznych w katolicyzmie, rozbierając z wami kolejno potrzebę i sposób pogłębienia idei katolickiej, w odniesieniu do po-

trzeb czasu; związek katolicyzmu z problemami obecnej cywilizacyi, wreszcie łączność Kościoła z kwestyą socyalną.

*
* *

I.

Któż z was takiego wypadku nie zna z doświadczenia? Spór wiodą dwie osoby: po jakimś czasie przekonuje się jedna strona, że ta druga przez nią atakowana, to samo w kwestyonowanej sprawie myśli, co i ona: „Ale czemużeś mi nie powiedział tego wcześniej? Myślałem, że w ytm sąd masz przeciwny, widzę, że nie było powodu żadnego do naszego konfliktu."

Takie to przecie codzienne w życiu, zwyczajne, ale takie też to codzienne i w prądach ścierających się umysłowości, a zwłaszcza w przeróżnych zasadach, jakie tak często z wyżyn cywilizacyi ciskane były, są, i niezawodnie będą Kościołowi.

O ludziach złej woli tu nie mówię; ależ ilu to ludzi dobrej woli zżyma się na jakąś wrzekomą tezę Kościoła, która jednak nią zupełnie nie jest: „Iluż to pogodziłem z wiarą—opowiadał jeden z Apostołów dzisiejszych — tylko tem jednem krótkiem powiedzeniem: „Ależ tego zupełnie Kościół nigdy nie naucza, co ty mu wkładasz w usta."

Ileż to razy jakiś punkt ciemny dzieli umysł skąpany w promieniach dzisiejszej kultury od Kościoła i wiary a przecież wystarczy wnieść odrobinę światła, by ów cień zniknął i rozpłynął się. To zaś światełko jest najczęściej tylko zdrową definicyą, tylko określeniem: to jest, a tamto nie jest nauką Kościoła.

Zanim się więc zabierzemy do rozpatrywań problemów dzisiejszej kultury i cywilizacyi zacznijmy od przypomnienia sobie obowiązku napozór tak banalnego: dobrych definicyi i zdrowych pojęć o wierze.

Gdzież zaś i w jakim gronie należy ze szczególniejszym naciskiem o tem mówić, jeśli nie w zebraniu mężów słowa i pióra, którzy na zasadzie stoją Chrystusowej?

Powiecie mi: „ale to nie do nas należy wykład nauki wiary."

Zapewne; ale do was należy rzecz bodaj czy jeszcze nie trudniejsza, bo orzekanie raz po raz o wszystkich problemach bieżącej chwili, szukanie dla nich punktu oparcia, wydawanie zdania o tem, co się w prądzie cywilizacyjnym wciąż przejawia, bez sprzeniewierzenia się tej zasadzie, którą wyznajecie i jakiej bronicie.

Jakżeż podołacie temu zadaniu i tej odpowiedzialności, jeżeli nie macie ścisłych i jasnych pojęć zasady Chrystusowej, z którą każdy ważniejszy problem dzisiejszy pod jakiś kąt wchodzi?

Jakże zdołacie w należytej perspektywie ułożyć i w prawdzie osądzić wzajemny stosunek cywilizacyi i wiary?

Jakże łatwo możecie podać za naukę Kościoła coś, co nią jest, lub też co jest opinią tylko, a wtedy, chcąc pomódz Kościołowi, tylko się go kompromituje, bo czyni się odpowiedzialnym za fakta i idee, które przez wiedzę dzisiejszą mogą być uznane za nieprawdziwe, przez to zaś jakże się utrudnia uzdrowienie problemów dzisiejszych lub też ich harmonijne z wiarą ułożenie, stosunek zaś wzajemny zaciemnia, boć

się kopie tam przepaście, gdzieby mosty sypać można.

Lecz i naodwrót: skutkiem braku znajomości zasadniczych prawd nauki Chrystusowej, może się i to stać, iż to, co mętne i niezdrowe w dzisiejszych prądach, wchodzi przez wyłomy nieznajomością nauki Chrystusowej uczynione, i próbuje zalewać tę domenę, która ma właśnie być tamą dzielącą prawdę od fałszu.

Boć jakże łacno uczynić nieznającemu podarek z jakiej zasadniczej prawdy na rzecz wolności wierzenia i przejść skutkiem nieznajomości rzeczy granice możliwych koncesyi.

Jakaż to odpowiedzialność u tych, którzy nauczają, skoro nie wnoszą precyzyi potrzebnej do rozróżnienia prawdy od fałszu, pewnego od problematycznego, do oznaczenia linii granicznej między prawdami koniecznemi a dozwolonemi hypotezami, między praktykami dodatkowemi pobożności, a obowiązkami świętemi.

Lecz nie poprzestańcie na tem negatywnem usuwaniu szkopułów między cywilizacyą a wiarą; samo definiowanie dobre, jakkolwiek wiele bardzo znaczy, jakkolwiek usuwa błędy nieporozumienia, jeszcze nie wyczerpuje pracy myśli katolickiej i jej obowiązków w drugiej dobie.

Postąpmy dalej.

Poprzedni mówca, w pięknem, subtelnem przystosowaniu przypomniał słowa Goethego: „Wer irrt, der strebt.” Niepokój poszukiwania prawdy taką duszą targa, która błądzi.

Błąd przeto uwodzicielem jest pragnień i aspiracyi, które ku zdobyczom prawdy zmierzają. Mnie zaś przychodzą w tej chwili na myśl słowa innego niemieckiego myśliciela Lessinga, który odwrotnie wnioskował, iż ten dopiero ma

ambicyę i silne popędy zdobywania prawdy, kto już raz jest w jej posiadaniu.

I jedno i drugie prawdziwe, a obie maksymy się dopełniają.

I ten rwie się ku prawdzie, który jej zupełnie nie zna, lecz na inny sposób, i ten przedewszystkiem, który ją już posiada, podobnie jak ktoś, kto zdobył sobie podstawy majątkowe, dopiero ma pragnienia i pożądania, by w różnych interesach i sprawach finansowych, ten pieniądz zużywając, mnożyć go i rozszerzać.

Zostawiam cywilizacyi dzisiejszej, o ile ta nie jest w posiadaniu jeszcze prawdy, dewizę Goethego, nie jako świadectwo wprawdzie i pochwałę, lecz jako obowiązek i zadanie. Błądząc, niechajże w błędzie nie usypia, niechaj go upojeniem pychy nie zatwierdza. Niechaj głodu duszy sytością chleba nie mami i nie oszukuje. Lecz niech dąży do prawdy odwiecznej tem natrętniej, im mniej jej ziarn w sobie zasianych widzi.

Nam wszakże katolikom niech druga przyświeca dewiza, zdobywania królestwa prawdy, właśnie dzięki temu, że już ją posiadamy.

Nic nowego zapewne posiąść w niej nie możemy, a jednak jakież nowe i nie zarobione pola prawda odwieczna dla umysłu pozostawia. Ileż to problemów dla szukającego i twórczego umysłu ludzkiego, tkwi właśnie w odnalezieniu łączności między wiekuistą i niezmienną prawdą a między przemiennemi formami dzisiejszego życia, w których jednak ma myśl się odzwierciedlić Bożą.

Jaka to zastawna biesiada dla umysłowości każdego narodu z osobna, każdej cywilizacyi, dla indywidualności każdego niemal umysłu,

szukać tych nowych dróg na starych niezmiennych gościńcach i tych przystosowań, za pomocą których nowe palniki w swych przeróżnych kształtach czerpią palną siłę z wiekuistych rezerwoarów.

Powiedziałem błądzącym: nie usypiajcie w błędzie, a teraz powiem wam, posiadającym prawdę: nie poprzestawajcie tylko na elementarnych jej pojęciach, przysypując je pyłem niepamięci i zapomnienia.

I wam, jak tamtym, ukazuję szukanie, jako pensum dla pracy myśli.

Przy takich wspólnych warunkach, dobrze przestrzeganych, umysł zbłąkany dzisiejszy otwierać się będzie z gotowością i wychodzić na spotkanie prawdy. Wy zaś chleb jej przystosujecie do jego własności, do jego usposobień i uzdolnień, i tak się na odwiecznych drogach prawdy wzajemnie spotkacie.

Lecz człowiek dzisiejszy potrzebuje i spragniony jest oglądania i roskoszowania się w pełnym ideale.

Nie dosyć jeszcze na rozświeceniu tego czy tamtego zarzutu, na nawiązaniu tego czy owego węzła; potrzeba jeszcze ujawnić ideał prawdy Chrystusowej w pełnym jej blasku.

Ukazujmy więc i podawajmy prawdy wiary w ich organicznym związku, w ich ślicznej skończonej strukturze.

Niechaj się mienią w bogactwie farb i kolorów niby tęcze wzorzyste.

Niechaj będą przepowiadane i opowiadane w szacie i stylu, który dzisiejszy smak wydelikacony nakrasem formy zadowoli i pociągnie.

Nietylko na wyobraźnię; niechaj sposób przepowiadania Chrystusa oddziała i na serce.

Pomnij pięknych słów Fenelona, iż „rany wielu z tych, którzy wątpią, pochodzą najczęściej nie tyle z ich umysłu, ile raczej ze serca: dlatego wszędzie należy rozlewać uczucie, by zająć, poruszyć, by pochwycić serce."

(Ramsai, Vie de Fénélon).

A ileżby o tych ranach mówić można w sercu dzisiejszego człowieka, wysuszonym materyalizmem, przeżywającym tak szybko po sobie następujące nieraz straszliwe uderzenia przeróżnych prądów, w końcu znużonym walką nie już z otoczeniem tylko, ale wprost ze sobą samym i ze swem zwątpieniem, więc tak bardzo wrażliwym na te argumenta, co płyną z idei świetlistych, niosących w sobie także i miłość, i ciepło.

Niechże podawany ideał Chrystyanizmu przemówi w sposobie umysłowości dzisiejszej.

Nie sądźcie, że tu jakieś nowe rzeczy wam podają.

Dosyćby było zebrać różne Encykliki Leona XIII, zwłaszcza zaś te, które skierowywał do biskupów francuskich, amerykańskich etc., ażeby z nich złożyć cały program reformy nauk teologicznych, czy to w seminaryach, czy wogóle w wykładach wiary.

Pod jego też impulsem powstał w katolickich krajach ruch ogromny nauk teologicznych, którego owocem jest mnóstwo dzieł pierwszorzędnych, mnóstwo nawet pism peryodycznych, zawodowo oddających się tej nauce.

W naszej zaś literaturze, choć ubogiej, bośmy zbyt, niestety, zajęci z konieczności pracą Marty—około wiela krzątać się zmuszeni; choćbyśmy nic więcej jednak nie posiadali, jak „Wie-

czory nad Lemanem" O. Morawskiego, istnie pierwszorzędne arcydzieło filozoficznej myśli i wykwintnej formy, już moglibyśmy się tem słusznie poszczycić.

Lecz nie usypiać nam, ale pracować potrzeba dalej.

Jakżebym rad tutaj obudzić, poruszyć talenta, jakżebym rad je zachęcić, by słowo swe i pióro oddali tej tak ważnej sprawie Chrystusowej.

Nie sądźcie, że pole religijnego piśmiennictwa u nas jest dostatecznie zarobione, bo każdy podręcznik jest tem samem dobry i wystarczający, skoro się wierze nie sprzeciwia.

Gdyż jakkolwiek nauka zawsze ta sama zostaje, to jednak sposób jej podania się zmienia; jak wszystko bowiem w świecie stale rwie się do postępu i ewolucyi, tak wszystkie formy, w jakie owija się prawda, temu samemu prawu podlegać muszą; więc i ta sama metoda, która przed pięćdziesięciu laty była dobra, dziś stałaby się już anachronizmem.

I tutaj waży zasada: „non nova... sed nove."

Nie zrywać nam z przeszłością, która w swych spichrzach zachowuje dla każdej epoki złote pokłady nauk wielkich mistrzów teologii i Ojców Kościoła.

Nie należy zrywać i z tradycyą, ale także nie wolno zamykać się przed dzisiejszą epoką.

Nie kłaść więc w wykładach wiary głównego nacisku na zarzuty, należące niemal do historyi, ale uwzględniać przedewszystkiem te, jakie dzisiejszy dzień niesie.

Nie tykać ledwo palcem prądów, które się dokoła nas ścierają. Nie zbywać ich tylko uśmiechem, ale zrozumieć trudności dzisiejszych nowych czasów, ale odczuć je głęboko—oto, co musi uwzględniać program metodyki.

Apologetyka przyswoi sobie także dzisiejszą psychologiczną metodę, filozofia zaś i teologia rozszerzy spekulatywne myślenie na kierunek, znamionujący dzisiejszą epokę, t. j. historyczno-empiryczny.

Nie poprzestanie także na samem wyszukiwaniu punktów spornych, poszuka i stycznych, i tu w różne dziedziny prawdy naturalnej wejdzie.

„Obrona wiary katolickiej, pisał Leon XIII do biskupów włoskich w swej encyklice z 15 lutego 1882 r. domaga się umiejętności, nie jakiejś zwyczajnej, ale wprost wybitnej i bardzo rozmaitej, bo domaga się nauki, która nietylko obejmuje samą wiedzę religijną, ale także naukę filozofii, wzbogaconą we wszystkie odkrycia fizyczne i historyczne..."

Z wyżyn niewzruszonej prawdy osądzajcie kierunki dzisiejsze, a w czem są fałszywe, poddawajcie krytyce, zwalczajcie, ale nawet zwalczając, pamiętajcie na przestrogi i wskazówki Piusa X, któremi jako pieczęcią przyłożę niniejsze rozważania: „Aby Chrystusa we wszystkich ukształtować — mówi apostolski Papież w swej pierwszej encyklice—do tego potrzeba przedewszystkiem miłości. Nadaremno starano się pozyskać serca przez surowsze wystąpienie i zastawienie się za prawa Boże. Często więcej to szkody niż pożytku przynosi, jeśli się zwalcza błędy ostremi wyrzutami. Miłość, która cierpliwa jest i dobrotliwa, musi i tych obejmować, którzy są

naszymi przeciwnikami, albo nas wrogo prześladują."

* * *

Zwróciłem uwagę na to, co nasza umysłowość potrzebuje odnaleźć w podręcznikach czy wykładach naszych religii w odniesieniu do myśli dzisiejszej, wyobraźni i serca; a teraz wzywam już nietylko tych, co z powołania swego urząd przepowiadania Chrystusa sprawują, ale wszystkich, by weszli do przybytków nauki Chrystusowej.

Wzywam was do tego, którzy wierzycie, ale i was nawet, co dalej wiary stoicie. Wzywam i wołam wam: poznajcie ją głębiej i lepiej. Co więcej, jeślibyście w waszem złudzeniu sądzili, że wam to zbędne dla waszej duszy, to poznajomcie się z teologią przynajmniej dla wyszkolenia waszej myśli.

Nie dziwujcie się takiemu zleceniu.

Dziś bowiem, kiedy empirya obciążyła lot myśli materyą, kiedy krąg jej nieraz przygięła ku ziemi, dziś instynktownie ludzie sami, głębsi, stojący nawet po za wiarą, wzdychają do nauki teologii, jako do busoli niezbędnej dla targanego tam i sam wiatrem zwątpienia umysłu.

„Myślę, powiada taki Janet, że filozof, któryby wszedł w studyum teologii, wyszedłby stąd z wielkim pożytkiem". A Balzac dawniej już mówił: „myślenie, ta podstawa wszelakiego dobrego jak i złego—nie może być inaczej wychowane lub kontrolowane albo kierowane jak tylko przez religię; jedynie zaś możliwą religią jest chrześciaństwo, które dzisiejszy świat stworzyło,—jedynie go więc i utrzyma".

Rozumiem te westchnienia ukradkiem rzu-

cane dzisiejszej duszy. I tylko im przyklasnąć, tylko ośmielić je mogę, tylko dalej nawoływać: Myśli dzisiejsza! kiedy cię nieraz widzę, jak walczysz z pokurczem Twych skrzydeł i to wonczas, gdybyś je rozwinąć rada;—jak się borykasz we własnej swej piersi zdławionym oddechem, wówczas gdyś powiew nieskończoności nad sobą zaczuła;—gdy cię widzę niewolną ciebie panią, do królestwa przeznaczoną, — myśli dzisiejsza! co ci ukazać mogę dla twego zbawienia, jeśli nie te niebotyczne szczyty teologicznej nauki, gdzie jak orzeł ze skalnej podstawy, tak umysł ludzki z niewzruszonych pryncypiów wylata, by szybować swobodnie, by unosić się górnie nad wszystkie myślenia dziedziny, by—nie tracąc z oczu ziemi—jednak ze słońcem królewski wzrok swój pomierzyć!

Myśli dzisiejsza! patrz tam bez uprzedzeń; wzmożesz się i podniesiesz a uleczysz.

* * *

Jeszcze mi praktyczna dziedzina ostała, to jest łamanie chleba religijnej prawdy w szkole. Jeśli kwestya ta ważna zawsze, to jakże bezmierną jest jej waga dla was, którzy się dobijacie szkół własnych.

Jakże to paląca sprawa u was, odpowiedzialności pełna, dla was wszystkich, którzy to dziecię ukochane narodu—szkołę—na łonie swem pieścić i kształtować poczynacie. Nie podobna mi jej obejmywać całej, — zresztą nie sądzę, że potrzeba.

Dotknę jeno mimochodem kwestyi wyśrubowywanej tu i tam—a mianowicie kwestyi pe-

dagogicznej; lubo drugorzędnej ale sztucznie forsowanej na pierwsze miejsca; używanej przez nieprzyjaciół wiary za parawan, z poza którego bije się w religijne wychowanie w szkole.

Wedle tej wrzekomej zasady, niepedagogicznie jest dziecku wpajać z góry zasady wiary, miasto mu zostawić wolny ich wybór.

Niechaj tu za mnie odpowie pisarz znany a niepodejrzany, Bourget, który w swej świeżej książce („Sociologie et litterature") pisze: „Religia, apelując w człowieku wpierw do wiary, potem dopiero do rozumu, wpierw do posłuszeństwa później zaś do inicyatywy, do tradycyi a później do własnego zmysłu, do woli najpierw a potem do inteligencyi — w tem wszystkiem przystosowuje się do porządku, w jakim się budzą nasze zdolności."

To też wychować dzieci religijnie, to znaczy tyle, co wychować je scientyficznie. Nie w tem znaczeniu, aby im dawać pojęcia wiedzy, której zużytkować nie mogą, — lecz by w metodzie ich rozwijania iść za temi regułami, jakie wskazuje wiedza, i które się zamykają w starem wypowiedzeniu: „nemo naturae obtemperat nisi parendo" — być naturze posłusznym na to, by jej rozkazywać.

Lecz czyż potrzeba rozpierać się z metodyką, która jest tylko środkiem do celu, tam gdzie o rzecz samą i o cel sam sprawa się rozgrywa?

A tu w grze jest właśnie duch narodowy, który bez ducha religijnego w wychowaniu pomyśleć się nie da.

Po co dowodów na to teoryi, skoro mi obecna chwila podaje w ręce dowody żywe.

Oto tu dopiero co weszli na salę goście

dostojni z poznańskiego: witaliście oklaskami żywemi tych dzielnych szermierzy i obywateli.

Niechaj oni wam opowiedzą na co miesiącami patrzą oczyma własnemi. Ci widzowie i razem działacze niechaj wam powiedzą wraz z akompaniamentem źrenicy, co się wpatrzyła w żywe, świeże fakta; naciskiem uczucia położonym na słowa, co sącząc się w ich dusze objęło je całkiem; niechaj wam powiedzą z tą sankcyą zdania, jaką daje eksperyment, zżycie się i współżycie z faktami. Niechaj oni wam powiedzą,—gdzie tkwi nadzieja ich całej narodowej siły?

Rzeką jednym zgodnym zdaniem: „w paciecierzu poznańskiego dziecka!"

Ten pacierz dziecięcy ujawnił krynicę siły, co niemowlęta na męczenniki pasowała, co dziecięta nad cnotę męża uniosła, ba, w olbrzymy ducha zmieniła. Pacierz to polski sprzągł lud cały w jedność narodowego uświadomienia i poczucia, a cierpienie za najświętsze ideały wiary stało się dlań szkołą najwytrawniejszego zmysłu narodowego.

Pacierz to dziecka ujawnił nam niespożytość ducha, pasowanego przez krzyże krwawe, który w zdumienie wprowadził Europę, patrzącą na bezmiar poświęceń wśród wszystkich katuszy, ale zarazem napełnił dumą i ufnością naród, który w takim ludzie ma piedestał niewzruszonej mocy i kordyał nadziei.

Więc pójdźcie tu wszyscy pod lekcyę, jaką wam daje ta żywa, ta wielka, a tak męczeńska karta naszych dziejów.

Wzywam nietylko wierzących, ale choćby nie wierzących, ale miłujących swój kraj i swój naród, wzywam, by stąd zaczerpnęli nieomyl-

nych wytycznych, po których ma iść i naprzód kroczyć program narodowy, a rozwijać się zmysł i siła narodu.

Tu, przy programie pacierza i nauki religii w szkole, segreguje się nie już pierwiastek religijny od niereligijnego, ale pierwiastek szczerze narodowy, od pierwiastku antinarodowego.

Tu jest probierz tych, co są za ojczyzną, i co przeciw niej walczą, choćby pod okrywką nie wiem jakich oświadczeń miłosnych.

A któżby się ważył tu, w tej dzielnicy, pierwszą kruszynkę wolności na to zużywać, by przeciwko sile pacierza w szkołach walczyć? by w rozmaitych organizacyach nań następować? Ktoby śmiał w takiej chwili i wobec takiej nauki pozwalać sobie na szczepienie bezwyznaniowości sekciarskiej wśród szkół i ludu?

Lecz gdyby tacy szaleńcy jednak znaleźć się mieli, to niechże naród wie, co wobec nich ma uczynić. Boć oni przedewszystkiem żywcem wysączają krew jego zdrową, oni bluźnią już nie religii tylko, ale i ojczyźnie, oni kradnąc najdroższy jej ogień, są jej znicza świętokradcami i łupieżcami, oni też jedną tylko otrzymać z ust jej mogą odpowiedź: „Zdrajcy, precz odemnie!"

Ostracyzm jest nietylko ich odpłatą, ale i koniecznym środkiem samoobrony.

* * *

Jeszcze pozwolę sobie poświęcić uwagę organizacyi szkolnej, zawiązanej przez osoby najlepszym duchem obywatelskim ożywione.

Jakże cenne i drogie jest życie i rozwój tej roślinki z ducha narodowego wylęgłej! Jakże pożądanem więc tu być musi, by interesa

narodowe i religijne ułożyły się w najlepszej i najharmonijniejszej zgodzie i jedności, bo wszakże razem się splatają.

Dla katolików, starających się ustawić w szeregi tej instytucyi nowej, dla lepszego obustronnego pooryentowania się i ułożenia interesów Kościoła i narodu, należy rozróżnić pomiędzy zasadą a pomiędzy taktyką.

W zasadzie katolicy nie mogą abdykować z postulatu szkoły wyznaniowej.

Jest on przecie najnaturalniejszym i najsprawiedliwszym, jeśli się go tylko jak należy pojmie; bo przecie tak jak w szkole narodowej domagamy się gwarancyi, iż uczucia narodowe nie będą atakowane przez kogokolwiek z gremium profesorów, — podobnie słuszną i sprawiedliwą rzeczą żądać dla uczuć religijnych podobnej poręki i gwarancyi. A tyle tylko chce dla siebie szkoła wyznaniowa, która bynajmniej nie domaga się, jak wielu sądzi, opanowania szkoły przez księży; żądając zaś sprawiedliwych gwarancyi dla siebie, uważa podobne poręczenia za słuszne i sprawiedliwe dla innych wyznań.

Inną rzeczą jest atoli postulat, a inną znowu stosunek w praktyce do szkół już na pewnej zasadzie założonych. Jak i o ile da się w nich uwzględnić sprawiedliwe żądania, to już nie należy do zasady, ale do taktyki, która niezawodnie wskaże przy dobrej woli zobopólnej tylko spokojną i pojednawczą drogę.

II.

Rozważałem z wami dotąd pierwszy program myśli katolickiej, t. j. pogłębienie samej prawdy chrześciańskiej.

Teraz zaś zastanówmy się nad stanowiskiem myśli katolickiej do myśli obecnej, do naszego czasu, i wogóle nad związkiem jej z całą dzisiejszą cywilizacyą i kulturą. Uważam jasne i zdrowe postawienie programu w tym kierunku za rzecz ogromnej doniosłości, zwłaszcza zaś w obecnej chwili dziejów Kościoła, która w tej części Polski wiele zmian przyniosła.

Dotychczas bowiem Kościół katolicki w Polsce miał w aureoli cierpienia puklerz. Z niej czerpał siłę jednoczącą z nim nawet tych, co w innych warunkach szliby osobno: lecz wówczas — w cierpieniu Kościoła widząc cierpienie ojczyzny,—we wspólnym uścisku podawali sobie dłonie.

Przechodzicie teraz w okres inny, gdzie węzły cierpienia zwolnione, gdzie więc ci poniewolni wasi sprzymierzeńcy mają rozwiązane wobec Kościoła ręce. Są oni wolni: kontrakt milczący i pokrewieństwo w krzyżu już ich więcej nie wiąże, a Kościół widzi potrzebę zdobywania

sobie jakby na nowo tych, których dotąd tak był pewnym—zdobywać zaś ich musi nie już zewnętrznemi sytuacyami, ale przedewszystkiem samą siłą wewnętrznej prawdy.

W takiej przełomowej epoce najgłówniejszą rzeczą jest odpowiedzieć sobie na pytanie: jak się ma kształtować myśl katolicka, by się nie zamknęła sama w sobie i nie zaskorupiła odcinając się od reszty żywotnej części życia narodowego, społecznego?

Jak znowu kształtować, by uniknęła niebezpieczeństw rozpłynięcia się w chaosie kwestyj tysiącznych? Całą też uwagę na to skupić się musi, by program katolicki nigdzie tam nie palił mostów, gdzie można zyskać i złączyć, a nigdzie znowu nie szedł za daleko w ustępstwach tam, gdzie są już rozbieżne zasady.

Dwa są kierunki, między któremi, jak między Scyllą i Charybdą, przechodzić muszą wszelkie programy myśli katolickiej.

Jeden—kierunek modernizmu, potępionego świeżo przez Piusa X, a drugi—temu wręcz przeciwny, przesadnego konserwatyzmu.

Oba prądy mają swe źródło we fałszywem stanowisku, jakie zajęły wobec dzisiejszej cywilizacyi i kultury.

Modernizm grzeszy tem, iż kokietuje z cywilizacyą dzisiejszą w bezkrytycznym zachwycie, dla niej poświęca już nie formę, ale nieomal samą treść swych wierzeń, tkwiąc w exageracyi upodobań każdej nowości, w dążeniu do oderwania się od każdej intelektualnej zależności i w uprzedzeniu, lekceważeniu, a nawet w tajemnej pogardzie wszystkiego—co trąci tradycyą. Modernizm, uniesiony fałszywą słabością

dla dzisiejszej kultury, rozwadnia, zaciera linie i kontury dogmatów, zmienia je nawet, byle tylko czynnik nadprzyrodzony najbardziej przydusić, a przez to poklask spodziewany od krytycyzmu przerafinowanego otrzymać.

Niektórzy idą dziś w swem ślepem i bezkrytycznem przystrajaniu się do prądów stulecia tak daleko, że nawet do jego teoryi darwinistycznej, przystosowanej do dziejów i rozwoju kultury, próbują przykroić dzieje i rozwój Kościoła i dogmatu.

Raczej poświęcą ścisłość prawdy historycznej, byle tylko hypotezie ewolucyjnej zadość uczynić.

Lecz nie myślcie, że chcę samą teoryę ewolucyjną w dziejach Kościoła krytyce poddawać; boć ta—ma swe uzasadnienie w przypowieści o ziarnie gorczycznem, a potwierdzenie w całej historyi Kościelnej.

Teorya jednak ewolucyi dziejowej wedle modernistów nie przekształca ziarna gorczycznego w kłos, lecz w miejsce ziarna jednego, potem innemu jakiemuś przez proces ewolucyjny schodzić każe.

Takie pojęcie ewolucyi nosi w sobie zarzewie rozkładu, bo—jak ślicznie mówi stary pisarz Kościoła i głęboki myśliciel Wincenty Lirynejczyk, który przed wieki jeszcze sformułował naukę o ewolucyi w dziejach Objawienia: „Do istoty kościelnego postępu by jakaś rzecz sama ze siebie się rozwinęła i rozszerzała, jeśli jednak z jednej rzeczy przemienia się w jakąś inną, to zmiana taka nie jest już postępem; postęp może tedy tylko wypływać z ewolucyi, tkwiącej w tym samym gatunku, czyli w przystosowaniu do na-

szej tezy, w tym samym dogmacie i w tem samem zasadniczem zapatrywaniu".

Jeśli ten prąd zgubnym jest dla wiary, to nie wytrzyma także krytyki już ze stanowiska samej kultury.

Bo i czyż przy całym podziwie dla zdobyczy kultury, można regestr jej gmachów przeoczyć? i to dziś — gdzie ona już sama obrachunek niejeden surowy ze sobą przerobiła?

Wszak jeśli cenię pot znoju, zraszający jej czoło, jeśli szczycę się, ja—dziecko czasu mego—bruzdami żyznemi, jakie wyorała cywilizacya na tylu nowych szlakach wiedzy wytkniętych, — to nie przeoczę jednak równocześnie śladów zniszczenia i spustoszenia, jakie w świecie moralnym i duchowym znaczył chorobliwy dzisiejszy krytycyzm i pessymizm.

Jeśli ideały sprawiedliwości, równości i braterstwa ciągnęły ku sobie mą wyobraźnię i serce, to odtrącała mię jednak pycha, co z uporną zawziętością szczepić chciała dobro poza Bogiem, ba—naprzeciw Bogu!

Jeśli podziwem wzbierałem wobec zdobyczy technicznej kultury, to boleć muszę nad przeoczeniem tej prawdy, iż nie samym chlebem żyje człowiek; w pogoni za dodatkami i za okrasą życia—jakże często przepadała dusza sama i troska o nią!

Jeśli mnie pozyskiwał dla epoki mojej głód prawdy, jaki ją trawił, to mierziła fanatyczna, nieraz pełna uprzedzeń tendencya, która badań i poszukiwań—z góry jako środka do celu—używała do walki wypowiedzianej Bogu!

I trzeba być doprawdy bardzo płytkim i powierzchownym, by tylko Kościół wciąż strofować o powolność w godzeniu się z kulturą

i wiekiem, a przeoczać, iż do jedności potrzeba zobopólnego usposobienia.

A już bardzo lichym jest się psychologiem, jeśli się sądzi, że się ustępstwy kulturę przebłaga.

I to jakimi ustępstwy!

Obniżeniem charakteru i pierwiastku nadprzyrodzonego, prawie zaparciem się go dla miłych oczu kultury realnej.

Jakie złudzenie!

Wszak obecna kultura swego realizmu ma już po uszy, zna suszę jego i biada nad nim, radaby zeń się otrząsnąć.

Czyż więc przyjmie jako lekarstwo z religii to, co w sobie chorobą być uznaje? czy raczej oferty podobnej nie zlekceważy?...

W przeciwieństwie do kierunku modernistycznego katolicyzmu otwiera się kierunek drugi, — źle zrozumianego konserwatyzmu.

Gdy modernizm z zamknionemi oczyma ponurza się w wirze czasu, gotów w pogoni za nim wszystko najdroższe pogubić, — to konserwatyzm odwrotnie: przed każdym powiewem zdrowotnym czasu swego, już z góry powziętem uprzedzeniem się zamyka, każdą nowość piętnuje jako niezdrową i niereligijną. Każdą słuszną i godziwą dążność do przyswojenia sobie tego, co w kierunkach wieku jest zdrowe, on uważa za niebezpieczną nowalię i zdrożną, ba, — za zdradę i przeniewierstwo Kościołowi. W swym źle zrozumianym zapale i gorliwości niewczesnej miesza nieraz to z kwestyą religijną, co z nią jednak w żadnym nie pozostaje związku, a przez to tamuje wolność rozwoju cywilizacyi i kultury, która dla jej ewolucyi jest jednak konieczną.

Jeśli modernizm idzie w teoryi ewolucyi zadaleko, to konserwatyzm nie uwzględnia jej wcale.

Kościół, wedle jego recepty, ma być odcięty od kultury i cywilizacyi, która jest cała — w jego mniemaniu — złą i bezbożną.

* * *

Tu, w tej części Polski, gleba pod taki konserwatyzm została przygotowaną przez pierwiastek mistyczny, który jednak skutkiem konieczności ukrywania się, nie miał dla siebie potrzebnych warunków rozwoju, i nieraz się wypaczył, odbijając się szkodliwie na stosunku do życia zewnętrznego.

Lękam się być źle zrozumianym.

Nie chcę, by na chwilę nawet mógł mię kto pomówić o zapoznanie ogromnych zasług osób, ukrycie dla chwały Bożej pracujących, i ich organizatorów.

Wiem także, iż wielu pośród nich do owoców działalności zbożnej jeszcze przyłącza zdrową pobożność i cnotę; jednak nie można mi przeoczyć i pewnych pokus z życiem ukrytem złączonych.

Jakże często tam, gdzie pierwiastek mistyczny pozbawiony zostaje potrzebnej, zewnętrznej kontroli, — sam sobie kontrolą jest i sterem; natchnienia działalności własnej uważa za nieomylne natchnienia Ducha Bożego; na tych zaś zawrotnych stanąwszy wyżynach, od związku z hierarchią z początku odwyka, potem ją lekceważy, w końcu poniewiera; wszystko zaś osądza nie podług zasad logiki i zdrowego rozsądku, ale podług myśli, idących od wnętrza, myśli zamglonych i niejasnych, któ-

rych początkiem jest gorąca i nieuporządkowana wyobraźnia, — natchnieniem o nieomylności swej przeświadczona pycha, a znamieniem rozbrat i walka z rzeczywistością.

Jakąż szkodę ci ludzie przynoszą samemu ideałowi katolickiemu, właśnie wówczas, gdy sami sądzą, że go bronią.

Idea bowiem katolicyzmu, wychylającego się z opony cierpień i ich aureoli, przez nich jest przedstawiana — jako wroga każdemu ziemskiemu dążeniu, każdej szlachetnej skłonności, nieprzejednana, bez miłości i współczucia zamknięta w obłędnym mistycyzmie, wpatrzona tylko w to, by na wszelki odruch postępu rzucić potępieniem.

Mamże sięgać po dowody ilustrujące me słowa? mamże otwierać tę świętą, nie skrzepłą kartę dziejów naszych, gdzie się rozkład lęgnął pośród biednej, obałamuconej szałem pychy braci naszej, i ludu — co za nimi, jak za wodzami poszedł, i Kościoła odstąpił? Mamże jeszcze ukazywać, iż rylcem, co rył tak krwawo, tak boleśnie po sercu żywem narodu, był właśnie fałszywy, długo w ukryciu i potajemnie chowany mistycyzm? Lecz lepiej i nie mówić o tem; wspomnienia są i za świeże i za gorzkie.

Lecz oczywiście inni, patrząc, do czego prowadzi taki wypaczony kierunek, odstręczali się od niego i słusznie: szli jednak czasem zadaleko i odwodzili siebie i innych już w kierunek wręcz przeciwny, lecz niestety i znowu skrajny. I już nie chcieli słyszeć o żadnym pierwiastku nadprzyrodzonym, o żadnych odgraniczeniach myśli katolickiej od problemów chwili, a jak tamci szukali zbawienia jednostronnie w nieuchwytnem natchnieniu, tak ci w bezgranicz-

nym realizmie, — w który się ponurzali z jakiemś dziwnem nieokiełznaniem i namiętnością.

Ale nawet poza tymi skrajnymi objawami jeszcze się gnieżdżą po jednej i drugiej stronie prądy, które się lęgną w silnie sfermentowanej atmosferze, a dają w rezultacie—darujcie mi to słowo—„warcholstwo duchowe".

Jedni stawiając słuszne zarzuty źle pojętemu mistycyzmowi, idą jednak dalej i uogólniają błędy osób do błędów Kościoła i wadami spowodowanemi wyjątkową sytuacyą mierzą w sam ideał jego: drudzy piętnują nazwą liberalizmu każdy najzdrowszy, najpotrzebniejszy kierunek postępu.

Cieśnią, kurczą, nieraz karykaturują zdrowe pojęcie religijnej prawdy, w imię wrzekomej ortodoksyi zatruwają życie innym, a sami się w złudnem utwierdzają mniemaniu, iż tem bardziej Kościołowi służą, im bardziej nieprzejednane wobec wszystkich problemów zajmują stanowisko.

Istne Kryspusy!

I oto macie błędne koło bez wyjścia prawie; oto dwa bieguny: niesforność pojęć i ciasnota.

Ach nie myślcie, że mówiąc wam te gorzkie prawdy, chcę się może w surowego zabawić sędziego.

Raczej jest inaczej.

Wiem wszystko, co na to wpłynęło i wpływa i dlatego wszystko wyrozumiewam.

A nawet oddaję się najlepszemu optymizmowi; boć jak wiosnę poprzedza zmienne, kapryśne, burzące się marcowe powietrze, tak na rozwój życia pełniejszy i bogatszy w narodzie

i Kościele mogą się właśnie składać te pierwsze burzliwe się ścierania, które w swoim rodzaju są dowodem i stwierdzeniem duchowej żywotności.

Byle tylko wczas się ułożyły, byle tamy nie rozburzały, grożąc straszliwym zalewem.

To zaś już jest wasza wspólna praca. Was też wzywam do tego, byście siebie wzajemnie wyrozumiałością darzyć umieli i byście w sobie samych niepokój zwalczali — przez wypędzanie z duszy wrogów zajadłych dobrego procesu myślenia, jako to nieufności, podejrzliwości, uprzedzeń pośpiesznej gorączki, sądów, rwania się nieujętego fantazyą niespokojną, — a następnie byście oczyściwszy serca teren — wzbijali się ku jasnym określeniom i ścisłym definicyom zwłaszcza przewodnich idei i jakby macierzystych.

* * *

Po zestawieniu dwu kierunków skrajnych w katolickich obozach,— t. j. modernizmu i ciasnego konserwatyzmu,—już sami z łatwością wywnioskujecie jak się ma ukształtować program katolicki wobec dzisiejszej kultury.

Nie prowadzi droga do pogodzenia Kultury i Wiary przez ustępstwa uczynione z depozytu Wiary i przez uszczuplenie pierwiastku nadprzyrodzonego, i przez bezwzględne przystosowanie się do ducha czasu.

Religia Chrystusowa bowiem nie jest tylko formą kultury, służącą do zaspokojenia czysto naturalnych potrzeb umysłu i ducha, lecz jest objawieniem pierwiastku nadprzyrodzonego, którego rozwój ma się dokonywać dla celów najwyższych, niezależnie od tych czy innych form cywilizacyjnych i kulturalnych.

Z drugiej atoli strony bynajmniej nie ignoruje, a tem mniej nie zamyka się Kościół przed prądem czasu.

Więc i druga skrajność i ostateczność jest w błędzie, skoro sądzi, iż rozwój prawdy religijnej osiąga się przez unikanie i zacieśnianie się wobec problemów chwili, albo przez upatrywanie w cywilizacyi niebezpieczeństw w tem, co jest tylko dozwolonym objawem jej samodzielnego rozwoju, albo przez branie za jedno chwilowego wypaczenia z formą, która jest jednak zdolną do ulepszenia; albo wreszcie przez usiłowanie wprowadzenia w związek z kwestyami religijnemi i etycznemi i potępianie z wyżyn tych pierwiastków cywilizacyi, które jednak w łączności z wiarą nie pozostają.

Drogowskaz Kościoła ukazuje ścieżkę inną. Złota jego maksyma brzmi: iż tylko przez oczyszczenie i przez uduchowienie ducha czasu przez ducha Jezusa Chrystusa zdobywa się kulturę dla Królestwa Bożego.

Stwierdzenie tej maksymy już odnajdziecie w Ewangelii, w której Chrystus podał cały szkic przyszłego życia i rozwoju Kościoła, a mianowicie w przypowieści o ziarnie ewangelicznem.

Ziarno, które uobraża Kościół, nie zmienia się w swej istocie, nie utraca swej siły rodzajnej, ale też zarazem nie przestaje na jednem stadyum rozwoju, tylko będzie róść, czerpiąc z otoczenia całego pierwiastków dla swych form rozwoju.

Historya cała Kościoła znowu nie jest niczem innem—jak tylko stwierdzeniem tejże samej maksymy.

Tym, którzy chcą się dopatrzeć w Koście-

le jakichś zmian istotnych, w każdej chwili zdolen jest wykazać, że nic innego nie opowiada, jedno prawdę Chrystusową przed wiekami mu zwierzoną i ani na jotę od niej nie odstąpił.

Ale tym, którzyby radzi widzieli Kościół w zaskorupieniu się, przedstawia w całem swem życiu i rozwoju wręcz inny obraz.

Sam w sobie nieporuszony, ale równocześnie z dziwną elastycznością i łatwością brał przejawy cywilizacyi i wcielał w formy swego życia.

Przez nadmiar życia, jaki w nim wre i kipi, wnika we wszystkie problemy, w których pochwytywał to, co zmienne i znikome, aby je zasymilować i odziać tem, co już nieprzemienne.

Jak strumień wartki i żywy, co chłonie w siebie po drodze żwir i nieociosane kamienie, następnie je oczyszcza i falą przegładza, i już jako swoje własne dalej unosi i brzegi i łożyska niem zdobi—podobnie i Kościół.

Lecz na swój sposób stwierdza jeszcze i cywilizacya dzisiejsza wskazaną powyżej zasadę.

Pomimo całej nieprzyjaźni dla Kościoła, nie może jednak zaprzeć się tego, że swe najszczytniejsze ideały z łona zabrała tej matki, przeciw której nieraz występuje i walczy. Lecz gdyby nawet ustyma zaprzeć się tego próbowała,—protest założy przeciw wyznaniu warg serce dzisiejsze. W miarę odpadających złudzeń, omamień pychy, ono puka w dzisiejszej piersi coraz to goręcej, coraz natarczywiej do drzwi Kościoła, i tęskne w tę stronę wysyła spojrzenia, skąd rozbrzmiewają słowa: „Jam jest droga, prawda i żywot."

Dojrzycie tę prawdę jeszcze lepiej, jeśli

wam przywiodę kolejno na oczy dzisiejsze ideały i będę je stawiał przed forum katolickiej myśli.

Pójdźmy w świat wyobraźni i w krainę sztuki.

Dlaczegóżbyśmy mieli koniecznie widzieć tylko w przeszłych wiekach kierunek jedynie możliwy dla rozwoju sztuki? dlaczegobyśmy musieli czasom naszym odmawiać prawa i możności utworzenia kierunku w sztuce samodzielnego?

Wszakże i te dawne, a przez nas dziś tak wielbione style usadowiły się, wyparłszy wprzód z siedzib te, które przed nimi królowały i jedynymi reprezentantami pojęć estetycznych były.

Weszły więc i zdobyły miejsca drogą rewolucyjną, Kościół zaś nietylko, iż tego nie bronił, ale przeciwnie, pod skrzydłami swemi chował i pielęgnował nowych przybyszy.

Czyż to samo nie jest możliwem i dzisiaj?

Jeżeli pragnie sztuka dzisiejsza włożyć więcej energii i temperamentu w linię, niechajże wkłada; chce nową duszę wykłuć z techniki realistycznej, niechajże ją wykłuwa.

Nie brońmy jej tego, a już najmniej upierajmy się przy tem, by bezduszne i zaschłe postacie w dziełach sztuki musiały być koniecznie ideałem sztuki religijnej.

Swobodę i wolność zaś, jaką sztukę dzisiejszą obdarzamy, ona dziś już po części usprawiedliwia. W pierwszych początkach nowego kierunku, niosła w sobie brzemię naturalizmu i materyalizmu, które się odbijało w chropowatej odstręczającej formie i w braku wszelkiej wyż-

szej idei; dziś jednak przed oczyma naszemi dokonywa się ewolucya na korzyść; tu i tam rażą nas jeszcze dosadności w rysunku i barwie, ale coraz bardziej góruje nad nimi skala bogatego i żywego kolorytu; idea zaś, co duszę nastraja, coraz częściej i śmielej przekrada się przez te barykady, jakiemi przed się był odgrodził najniższy realizm.

Z poezyą podobnie postąpmy.

I czyż musimy w poezyi dzisiejszej potępiać już wszystko? Nie chcę bynajmniej nowym kierunkom schlebiać. Znam tę formę pokuśną, pod jaką sączy się trucizna w dusze młodzieży, znam pieszczenie stylu, które miękczy duszę i w egoizmie usypia. Znam je, jak i wy je znacie,—parokrotnie publiczny nawet dałem temu wyraz,—a jednak osądziwszy co złe, nie czuję się wcale upoważnionym do proroctwa o daremności wysiłków dzisiejszej poezyi.

Przeciwnie, co do mnie,—a nie myślę nikomu swego zdania narzucać,—lecz swobodę mojej opinii kojarzę najzupełniej z moimi wierzeniami. Spodziewam się raczej i tuszę, że jeśli raz poezya zdusi i zdławi w sobie zaduszający ją materyalizm, wtedy czar jej, jej prześliczne formy, wtedy muzyczność jej słowa, psychologiczne odczucie stanów duszy pójdzie w służbę wielkiej żywotnej idei, i zrodzi nową epokę poezyi.

Lecz zejdźmy do kwestyi bardziej realnej, a w naszym wieku niepodobna kroku w realizmie uczynić, by nie natknąć na naukę, która zdobyła sobie dziś autorytet przewodni i nieomal jedyny.

Czemużbyśmy się zamykać mieli przed postępem nauk? Jakże raczej nie podziwiać żmudnej pracy myśli dzisiejszej, co wyścieliła swe

ścieżki pod gwiazdy; co otuliła się prawie niezmysłowemi siłami pary i elektryczności; co nie pominęła jednego wiedzy królestwa, by nie zajrzała doń i nie wniknęła; co w jednem stuleciu poczyniła tyle nowych wynalazków, iż bledną wobec nich i znikają wieki poprzednie, choćby w kilka razem wzięte.

Nauka, po przegranej filozofii, stała się autorytetem dla dzisiejszego człowieka. Dlaczegóż z tem się nie liczyć?

Jakże mogą unikać katolicy tego pola, z którego umysłowość dzisiejsza tak słusznie jest dumną; jakże mogą unikać, skoro tu właśnie turniej się odbywa dzisiejszego rozumu, a zarazem pasowanie nauki na królowę myśli dzisiejszej?

Czyż zejście katolików w dziedzinę wiedzy nie jest wprost wskazane i zalecone ze względu już na wiarę samą?

Jeśli chcemy pozyskać dzisiejszego człowieka dla Kościoła, to niechajże Apostołów wiary opromienia także aureola nauki, w którą dzisiejszy umysł święcie i niezbicie wierzy.

Czyż jest także prostsza droga, by wykazać, że niema sprzeczności pomiędzy nauką i wiarą, jak trzymanie w jednem ręku nauki, a w drugiem wiary i zawołanie: „Oto patrzcie, jak się oboje godzą!"

A jeśli, niestety, nauka dzisiejsza, aż nazbyt często zostaje nadużytą do walki z wiarą, to czyż już sama taktyka strategiczna nie każe przedewszystkiem opanować posterunku nieprzyjacielskiego? tam, z miejsca, z którego on zatacza działa—i my zatoczmy nasze baterye.

Bo i kto lepiej potrafi się odnaleźć w labiryncie zarzutów przeciw wierze, jeśli nie ten,

który sam laboratoryum to zna, w którem się kują pociski i materyał, z którego się broń leje?

A czyż nie jest to droga zarazem najsposobniejsza, by pozbawić monopolu nauki tych, którzy jej nadużywają do szerzenia niewiary, bo korzystają z tego, że niema innych, którzyby w imię samej nauki wykazali, że się jej imienia do tez już z góry powziętych tylko nadużywa.

Z właściwą sobie bystrością i przenikliwością nawołuje Leon XIII katolików do zajęcia pól naukowych: „Wiele umysłów subtelnych— pisze On w jednym ze swych listów—dokonało pięknych i bardzo płodnych wynalazków; tem mniej można je ignorować, skoro niewierzący chciwie się wtapiają w postępy z każdym dniem, by kuć stąd broń przeciwko prawdom objawionym; potrzeba więc, by obrońcy wiary przykładali się więcej niż dawniej do studyów nauk przyrodzonych i by byli w tym samym czasie obznajomieni we wszystkich kwestyach, dotyczących wykładu i powagi Pisma św.”

Lecz jeszcze silniej żądania swe wypowiada Papież, gdy w liście do amerykańskich biskupów domaga się wprost nie już dorównania, ale wyprzedzenia innych przez katolików na polu nauki.

Oto słowa Ojca Chrześciaństwa:

„Każde wykształcenie byłoby niekompletnem, gdyby nie obejmowało znajomości wiedzy nowoczesnej: w tym tak gorącym pościgu umysłów potrzeba, aby katolicy szli naprzód, a nie dopiero kroczyli z tyłu.”

(Encyklika „Inter longinqua Oceani spatia.” 6 stycznia 1895).

Wy, którzy dzierżycie ster myśli, lub którzy czy piórem czy słowem jej ścieżki znaczycie! was wzywam: nie dozwólcie, by się dwie sfery wiary i nauki, skutkiem sianych a bezpodstawnych uprzedzeń dzieliły, bo biada, gdy przez waszą nieostrożność albo złą wolę umysłowość, szczycąca się postępem, będzie kroczyć jedną — a wiara inną drogą.

Strzeżcie się przez porywczy zapał tworzyć sztuczne nieporozumienia, strzeżcie się lekkomyślnie wytwarzać atmosferę, w której się roi od zobopólnych nieufności i niedowierzań. Wasza rola jest inna.

Do was to należy usuwać z drogi w zobopólnym stosunku wiary i wiedzy te kamienie obrażenia, jakie nieznajomość rzeczy czy namiętność podrzucić usiłuje.

Niechaj umilknie pod działaniem waszej rozumnej misyi, nieufność tam ku wiedzy, gdzie niema ku niej zupełnie powodu.

Popychajcie inicyatywą waszą ludzi o żywych przekonaniach katolickich, by wstępowali na to pole nauki. Uważajcie tę pracę jako pracę apostolską,—nie odłączajcie jej od wiary, ale uważajcie za misyę duchowną.

Niechaj znowu przy pomocy waszego kierunku wiedza zbliża się do ideału scientyficznej metody, ścisłej, trzeźwej a nie generalizującej faktów, nie rządzącej się uprzedzeniami powziętemi z góry, nie bawiącej się w hypotezy metafizyczne, które z wiedzą ścisłą nic wspólnego nie mają, ani mieć mogą. —

Mówiąc o wiedzy, zawadzę jeszcze o filozofię.

I tu na tem polu nawet zupełnie rozpaczać nie wolno. Skoki, jakie od stu lat filozofia prze-

bywała, co prawda wprost są niebywałe. Z jakąż łatwością przerzucała się z idealizmu Hegla, który nawet ziemi dotykać nie chce, do materyalizmu, który w materyi cały się nurza, i do pesymizmu, który o wszystkiem wątpi.

A jednak to całe morze sprzeczności wskazuje na tortury myśli dzisiejszej w szukaniu prawdy i na głód i na rączość starań w zaspokojeniu głodu.

Umysł tak rozbity i roztrzęśniony, jak umysł dzisiejszy — a tak znowu stęskniony światła, — jest podatną rolą dla religijnych problemów....

I dostrzegli to już z wyżyn obserwatoryów swych duchownych myśliciele dzisiejsi. Po surowej analizie, jaką uczynił Brunetière z dobytkiem nauki, nastąpiła teraz dyagnoza samego stanu filozoficznego myślenia, a jeden z najznakomitszych filozofów współczesnych (Euken) w swych dwu ostatnich pracach wprost na religię wskazuje, jako na zbawicielkę rozkołysanej, roztrzęsionej myśli dzisiejszej.

* * *

Wam, ludzie wiary, poddałem tu szkic pobieżny, by rozwiać wasze uprzedzenia i wasze obawy tam, gdzie na nie niema miejsca; by wasz interes dla prawd nadprzyrodzonych powiązać z zajęciem się prawdą w porządku przyrodzonym; by was wrażliwymi uczynić na głos tęsknoty ku Bogu dzisiejszego człowieka, dający się odczuć nawet wśród jego obłędu.

Szerokość myśli, wolna od zacieśnienia, jakie wytwarza sztuczne przeszkody, z jednej strony, ale wolna także od bezkrytycznego bra-

nia wszystkiego za dobrą monetę z drugiej strony, niechaj wam będzie busolą i niechaj was poprowadzi na spotkanie z problemami stulecia.

Tyle do was.

Do kultury i cywilizacyi naszej dziś rzecby można słowami Ewangelii: „O si scires donum Dei!"

Gdybyś ty znała dar Boży, który masz w doktrynie katolickiej, gdybyś przybliżyła usta swe do zdroju wody żywej, odmłodziła byś się i odrodziła. W zetknięciu się z całą twą spuścizną myśl katolicka rzuci skrę znicza ognistego a niespożytego.

W tak pojętej i ułożonej wzajemnej pracy tych, którzy wierzą i tych, którzy tęsknotą i pragnieniem szczerem ku chrystyanizmowi i Kościołowi wyciągają dłonie,—nastąpić może zbliżenie się kultury do Królestwa Bożego.

Maksyma Chrystusowa odnajdzie się we wszystkich cywilizacyjnych dziedzinach i we wszystkie wniesie zdrój żywota.

I gdzie tylko w literaturze wirtuozostwo języka i formy, subtelność literacko-estetycznego smaku, odkrywa moralną słabiznę,—idea katolicka przybędzie, by formę skończoną zasilić jeszcze żywotną i zdrową życiodajną myślą. —

Tam, gdzie niewolniczy naturalizm w sztuce wypędził treść,—idea katolicka pośpieszy, by ze skarbca swego rozsypać perły, w których piękno z dobrem się kojarzy.

Tam, gdzie w dziedzinie wiedzy krytycyzm rozdarł kontury przewodnie moralności i pewności, gdzie wprowadził chwiejność,—idea katolicka podda w swych niewzruszonych pryncypiach te pewniki, które są niezbędnym punktem wyjścia dla każdej wiedzy.

Tam, gdzie wiedza ślizgając się po zewnętrznej kulturze, będzie świecić jak słońce zimowe, mrożąc lub nie sycąc serca,— prawda katolicka z blaskiem miłość połączy i odtąd prawdy nie będą już tylko gwiazdkami pięknemi, tkającemi szatę dzisiejszej kultury, ale pochodniami, co nowo znaczą szlaki ludzkości w jej zdążaniu do Królestwa Bożego na ziemi.

Tam, gdzie człowiekowi dzisiejszemu różne gałęzie nauki rozbiegły się niby pacioreczki, co się ze sznureczka rozsypały i powiązać się nie dają,—katolicyzm w swych fundamentalnych zasadach poda mu kit spojenia, i umysłowi dzisiejszemu wybuduje kopułę wielką, co te różne kaplice i kapliczki wiedzy zjednoczy w hymnie szczytnym, tak do szczęścia myśli potrzebnym i niezbędnym: Gloria in excelsis Deo!

* * *

„Omnia instaurare in Christo!—wszystko należy odnowić w Chrystusie, woła Papież Pius X (encyklika z d. 11 czerwca 1905 r. do biskupów włoskich) więc nietylko to, co należy właściwie do misyi boskiej Kościoła ale i to także, co wypływa z niej: więc cywilizacyę chrześciańską i to wziętą zarówno w ogólnej zawartości jak i rozpatrywaną w poszczególnych elementach jakie się na nią składają".

III.

Zupełnie osobne zarezerwowałem sobie miejsce dla omówienia łączności idei Kościoła z ideałami socyalnymi, które w naszych czasach na pierwsze wysuwają się miejsce.

I tu znowu postawię konserwatyzmowi źle pojętemu, chcącemu i Kościół odciąć od ruchu socyalnego, jedno pytanie po drugiem.

Dlaczego, pytam, mamy widzieć Kościół w łączności z jedną tylko formą rządu albo tylko z jedną formą politycznego życia; i pytam, dlaczegoż mu nie zostawić wolności, dlaczegoż nie odgraniczyć religii, nie uniezależnić Kościoła od tych, co chwilowo stanowią władzę. Dlaczegoż katolicyzm niema mieć wolności czy tu, czy tam, do tej lub owej formy, która mu się podoba, przylgnąć? Pamiętam, że gdy wydane zostało pismo katolickie, które się wspierało na demokracyi, spotkałem wybitnego myślącego człowieka, który powiedział mi: „Ja nigdy nie miałem pojęcia, że katolik może być demokratą" (oklaski).

Lecz czyż potrzeba nam na to odpowiadać po znanem orędziu Leona XIII do katolików francuskich, w którem tak wyraźnie i tak

jasno niezależność Kościoła od tej lub owej formy podkreśla?

Lecz idźmy w pytaniach dalej. Dlaczegożbyśmy mieli lękać się przechylenia się Kościoła ku ruchowi socyalnemu, otrzymującemu wszędzie moc legalną przez rozszerzone prawo politycznego głosowania?

Co więcej, dlaczegożbyśmy nie mieli uznać konieczności liczenia się Kościoła też z potężnemi organizacyami socyalnemi, już też z powszechnym ruchem demokratycznym, który się zawsze może zwrócić przeciw tym, którzy mu nie zechcą przyznać tego, co jest słusznem i rozsądnem.

Lecz wiem, że najdą się i tacy, którzy powiedzą: wszakże rolą Kościoła jest szerzenie królestwa Bożego,—chleb nie do jego sfery należy. Odpowiem na to:

I cóż z głoszenia słowa mądrości, jeśli ono pada na glebę serca porytą niezadowoleniem, może poczuciem krzywdy—i słusznej; jeśli sączy się bólem, lub rozsadza się nieujętemi pragnieniami ziemi? Czyż będzie słuchane, czyż będzie przyjęte?

Czyż jeśli Kościół nie będzie obecny tam, gdzie jest środowisko myśli, starań, aspiracyi ludzi,—czyż przez to samo nie wyrobi się w nim mniemanie, że prawdy najświętsze nie mają jednak związku z jego najbliższemi potrzebami, i że z jego najbliższem mu życiem jego myśli i trosk?

Czyż zaniedbanie starań o chleb dla ludu nie spowoduje, iż to uczynią inni a niepowołani?

Oni ugodzą w to, coście wy przeoczyli, oni wyzyskają wasze niedbalstwo, oni się narzu-

cą na opiekunów ludu, pozyskają jego zaufanie i wyzyskają.

Boć w zamian za opiekę zechcą mu panować i jego wierzeniom i jego woli.

Z kwestyi chleba uczynią klucz do jego duszy i nim ją otworzą i wyrzucą ztamtąd prawdy, które im zawadzać będą i wprowadzą te, które im naręczne.

Ale pomijam i te względy, lecz podnoszę zasadniczy i pytam: czy jeśli raz komu dzieje się niesprawiedliwość, Kościół może milczeć i nie upomnieć się o nią?

Lecz pomimo tak jasnych dyktatów logiki nie wszyscy katolicy takie rozumowanie przyjmowali.

Pdkreślam to słowo — nie wszyscy—gdyż były całe zastępy, które pod wodzą najwybitniejszych ludzi stulecia, — wśród których dość wspomnieć takiego Kettelera, Manninga — rozejrzały się szer ką myślą i sercem wielkiem w roli jaka Kościołowi przypadła.

Za ich przewodem i staraniem rozpoczął się już przed dziesiątkami lat olbrzymi ruch socyalny na zasadach chrześciańskich, który urósł w potężny obóz socyalny i polityczny, stający do konkurencyjnej walki ze socyalizmem.

Byli jednak i tacy, którzy na kwestyę socyalną patrzyli tylko po wierzchu. Dla nich każde żądanie robotnika o ulepszenie bytu już było chęcią krzywdowania sobie. Socyalizm obchodził ich tylko ze strony religijnej, dla nich Kościół powinien tylko pilnować zakrystyi. Każde żądanie przeto reform socyalnych ze strony katolickiej, już się równało wedle nich rewolucyjnym aspiracyom i piętnowali je nazwą socyalizmu.

Lecz rozstrzygnięcia czekano z wyżyn Kościoła. Czy rzuci Kościół hasło? wszyscy z zapartą piersią czekają. Zechce li się rzucić w wir i odmęt straszliwy?

Tak! pójdzie i rzuci się. I jakżeby mogło być inaczej?

Kościół tem mniej mógł stanąć poza całym ruchem socyalnym, boć przecie ziarno jego haseł z Ewangelii pochodzi. Społeczeństwa oddalając się od Kościoła uniosły jednak ze sobą ideę równości, wolności i braterstwa i o tyle się z nimi biedzą, o ile same bez łaski Chrystusa użyć ich nie potrafią, o tyle żywotności posiew w nich mają, o ile brylant ewangelicznej siły w nich połyskuje.

Miałżeby się więc Kościół wykluczać od roboty przy tym warsztacie, którego tajniki tak dobrze mu znane. Miałżeby odstępować swojego posiewu właśnie wówczas, gdy niewierne dzieci już zmęczone własną samowolą nieporadne stoją nie wiedząc, co z tym posiewem począć, który z obcej gleby wzięły.

Nie! przenigdy!

Wejdzie on raczej w całą burzliwą falę, by szukać tam co było zginęło, by przed powodzią straszliwego teroryzmu odratowywać ludy, by łożysko nowych ruchów pod swym sztandarem układać i czekać w pracy, aż po nocy mozolnej słońce nowe zejdzie.

Z wyżyn skały Piotrowej ogarnął Leon XIII namiestnik Chrystusa orlem wejrzeniem całe położenie.

Objął ruch nowy, olbrzymi, co wciąż nowemi, mętnemi wzbierając falami groził zalewem staremu porządkowi. To socyalizm; zrodził się jeszcze na świeżych ruinach i krzywdach kapita-

lizmu, wyzyskał panujący ucisk, aby na sztandarze swym wypisać, — „walka z wyzyskiem"; podpatrzył słabą stronę kwestyi robotniczej, jaką był brak organizacyi, rozbitej przez liberalizm i zawołał masom: łączcie się! Ale ten sam socyalizm wsiąknął w krew swoją truciznę tej żmii, którą pozornie deptać się zdawał.

Egoizm klasowy, zmienił w egoizm mas obdarzony tytułem wszechwładztwa ludu. Obojętność i pogardę dotychczasową zastąpił klasową nienawiścią. Wniósł przytem zarzewie walki wszędzie i podłożył petardę pod ustrój społeczeństwa.

Religii nie cierpiał i z religią walczył, nietylko dlatego, że wyszedł z atmosfery materyalizmu, ale więcej dlatego, że w całym swym ustroju kształtował religię z siły mas i tem samem każdą religię instynktownie uważał za rywalkę jego aspiracyi.

Leon XIII ostrzega przed socyalizmem, ale zarazem odbiera napowrót te hasła, które wydarte Kościołowi przez liberalizm, przez socyalizm podjęte zostały.

Papież rozwiązuje kwestyę robotniczą nie na zasadzie miłosierdzia, ale na zasadzie sprawiedliwości. Z ust Papieża pada słowo o krzywdzie stanu robotniczego. Warto żywcem przypomnieć jego słowa:

„Wszakże zasady — mówi Papież w Encyklice „Rerum novarum" — i uczucia religijne znikły w prawodawstwach i instytucyach publicznych i tak zwolna robotnicy odosobnieni i bez obrony ujrzeli się oddanymi na pastwę nieludzkich panów i współzawodników niepohamowanej chciwości. Do tego wszystkiego dodać potrzeba, że produkcya i handel stały się nieomal

monopolem niewielu, a w ten sposób garstka bogaczów nałożyła jarzmo prawie niewolnicze nieskończonej liczbie proletaryuszów".

Lecz jakże radzić na to. Pomiędzy środkami innemi, głośny nacisk kładzie Encyklika na organizacye zawodowe. I znowu tutaj idea solidarności reprezentowana przed rewolucyą francuską w organizacyach robotniczych kościelnych zostaje światu przypomniana i do potrzeb nowych przystosowana. Związki jakie Papież poleca, to nie związki o charakterze ściśle kościelnym, ale przedewszystkiem to są związki zawodowe, w których robotnik za pośrednictwem organizacyi ma dochodzić słuszności swych praw i tego wszystkiego, co mu dla polepszenia jego bytu potrzebne. Interes ekonomiczny w nich góruje, jakkolwiek nie wyklucza się, owszem doradza uwzględnienie kwestyj religijnych zwłaszcza apologetycznych. Tak to robotnik chrześciański ma w związku zawodowym wszystko to znaleźć dla potrzeb swych ciała, co ma w swych organizacyach wrogich religii tam przynależący.

Bo rozumie to Ojciec chrześciaństwa, „że w obecnym stanie rzeczy, jedno z dwojga zostaje robotnikom chrześciańskim do wyboru, albo przystać do związków, w których religia narażona jest na niebezpieczeństwo, albo osobne tworzyć stowarzyszenia i jednoczyć siły w tym celu, aby można się oprzeć przytłaczającemu i nieznośnemu uciskowi". (Rerum novarum).

Słowo papieskie przyszło w czas.

O pół wieku wstecz, gdy się kwestya socyalna dopiero poczęła, pukał do bram Watykanu pielgrzym, by wołać, iż czas najwyższy, by się Rzym za ruchem robotniczym oświadczył,

boć pod bluzą robotniczą działa teraz Duch Ś-ty, który tu dzieje skierowuje. Wołał ów przybysz coraz natarczywiej, coraz gwałtowniej i namiętniej, aż szarpnął i targnął się w swym gniewie.

Był to Adam Mickiewicz, który wiedziony odczuciem potrzeb ludu i Kościoła, z głęboką intuicyą wieszczą, chciał wydostać od Piusa IX wypowiedzenie. Ale wówczas jeszcze nie nadeszła dla Kościoła chwila; wówczas jeszcze upojeni byli własną wielkością ci, co ten ruch socyalny dzierżyli, a inni lekceważyli jego doniosłość i zapewne słowo papieskie ześliznęłoby się było wówczas bez śladu.

Dziś inaczej.

Dziś wielu przejrzało; jedni na grozę położenia, inni, którzy niedawno jeszcze apoteozowali socyalizm, ujrzeli, że system, który zamknąć usiłuje wszystkie starania w kwestyi chleba nie ostoi się wobec ludzkiej duszy, stwierdzającej na sobie maksymę: „nie samym chlebem żyje człowiek".

Nadaremno chciano i usiłowano wygnać z rzeszy religię. Jeśli bowiem i rozburzono w duszy ludu ołtarze prawdziwego Boga, to jeszcze tworzył on sobie fałszywe bożyszcza, którym się kłaniał.

Instynkt religijny pozostał, tylko przedmiot się zmienił.

Bo w miejsce Boga miłości powstało bożyszcze mściwe nienawiści, ziejące zemstą, niosące śmierć i zniszczenie, niedające się wstrzymać w pochodzie nikomu, tym nawet, co w swem złudzeniu marzyli, że sami powolnie kierować zdołają. Bo widmo straszliwe gotowe było za-

wrócić się przeciw własnym ojcom duchownym i tych pożreć.

Więc przejrzano i przez to samo w duszach nastąpił zwrot, który je usposobił do słuchania słowa z wyżyn twierdzy Ducha świętego.

Słowo to więc przyszło wczas...

Słowa Leona były zachętą dla gotowej pracy socyalnej na zasadach chrześciańskich; były podnietą do podjęcia jej tam, gdzie jej dotąd zabrakło.

Można powiedzieć, że stały się osią, około której toczyć się będzie ruch społeczeństw chrześciańskich i wogóle nowego ustroju świata.

Tam, gdzie nie wejdą w program, albo wejdą niedostatecznie jak we Francyi, tam fale terroryzmu zagrażają całemu dorobkowi cywilizacyi; gdzie zaś się przyjmą albo przyjęły, tam katolicyzm pokazuje się jedyną skuteczną siłą przeciw nawale społecznego nihilizmu jak np. w Niemczech.

*
* *

Lecz nie poprzestańmy na ogólnych kierunkach. Wszystko zależy od tego, jak je potrafimy przeszczepić na nasz grunt, i stąd największej wagi dla nas się rodzi pytanie: a jakże się mamy brać do dzieła, by i u nas przyjęły się wskazówki papieskie?

Jakże rośnie we mnie otucha gdy widzę u was tyle szczerej woli, tyle szlachetnego zapału dla każdej dobrej sprawy; jak za nią w tropy idzie chęć, by wam posłużyć doświadczeniem uzbieranem. Więc pozwólcie mi na pogawędkę z wami czysto już praktycznej natury.

A niestety istotnie programy na miarę krawca bywają robione.

Dobry program nie wyskakuje jak Pallas Atene z głowy, ale skrojony być musi ze środowiska, w którym się ma przyjąć. Wedle słów Leona XIII stanowi o nim „duch każdego narodu, doświadczenia próbami nabyte, rodzaj i skuteczność zajęć, rozległość stosunków a w końcu inne jeszcze okoliczności rzeczy i czasów, które wypada roztropnie brać w rachubę".

Iluż to złudzeniom podlegamy skorośmy spokojni i pewni siebie, gdyż mamy statut gotowy, wydział wybrany i liczbę członków zaregestrowaną.

Lecz czemże jest statut bez zindywidualizowania idei, czemże wydział aczby najświetniejszy i najliczniejszy bez jednego chociażby człowieka, któryby się ideą przejął i pokochał, czemże w końcu liczba jeśli nie papierowym balastem, skoro brak żywotności organicznej dzieł i działania.

Nieraz przed zbudowaniem programu wprzód jeszcze uczyć się potrzeba; uczyć się praktycznie poszczególnych organizacyj dzieł socyalnych by nie marnować energii nadarmo, by budzić inicyatywy socyalne, tak często dlatego nieraz uśpione, iż się nie wie jak się brać do działania, a nie wiedząc — niema się też i smaku i zainteresowania.

Praktyczna wiedza nieraz się wiązać musi ze znajomością prawd fundamentalnych, zwłaszcza ilekroć w grze są ogólne wytyczne programów czy idei socyalnych. Niechaj nikt się nie łudzi, iż wystarczy wierzyć, może żywo kochać, by już tem samem być uzdolnionym do

fabrykowania problemów i podawania planów akcyi społecznej.

Potrzeba jeszcze wiedzy.

Znajomość praw socyalnych a nawet ścisłość dogmatyczna w określeniu pojęć równości, wolności, braterstwa, sprawiedliwości i miłości są w ręku socyologa tem czem miernik u architekty. Co chwila do nich odwoływać się musi.

Skądże to u nas tyle chaosu i pomieszania w poglądach na kwestyę socyalną nawet u katolików, skąd mętność pojęć w książkach i broszurach, skądże jeśli nie z jednego źródła: oto intuicyą i sentymentem zastępuje się brak znajomości ewangelicznych zasad i ich konkluzyi.

Skąd tyle obałamucenia pośród młodzieży i to szlachetnej, spragnionej ideału, jeśli nie stąd, iż nie umie rozróżniać i rozeznać pomiędzy złotem ziarnem a plewą, między miłością a nienawiścią, między sprawiedliwością a namiętnością.

Książki zaś, choćby te nawet wychodziły pod firmą chrześciańską, choćby powoływały się na naukę Chrystusową, choćby syciły karty gorącym porywem, jeśli jednak nie spierają się na pewnej doktrynie, to jeszcze większy zamęt w pojęcia wprowadzą. Bo podobny romans socyalny przemycony pod znakiem naukowego dzieła, gubi i topi myśl zdrową w odmęcie wrażeń religijnych i poetycznych, i zamiast linie graniczne między ideałem fałszywym a prawdziwym podnieść i podkreślić, on je przeciwnie zaciera i niszczy.

Jak powyżej wykazywałem, iż do ułożenia należytego zasady katolickiej do prądów intelek-

tualnych niezbędną jest wiedza religijna, tak tu analogicznie wnioskuję: aby zbudować zdrowy ideał chrześciański socyalny i ustawić go do prądów dzisiejszych, niezbędną jest znajomość fundamentalnych zasad z chrystyanizmu wyłonionych, na których socyologia się wspiera.

W akcyi praktycznej skierować potrzeba starania ku ludności robotniczej i wiejskiej.

Tu z radością i dumą już dziś powiedzieć sobie można, że mimo całego zalewu rozprzężenia i anarchii, mimo obietnic najzłudniejszych ale pokuśnych, mimo terroru strasz'iwego co grabi wszelaką wolność przez organizacye robotnicze Kościołowi i narodowości wrogie, ozwało się wszakże w piersi robotniczej poczucie religijne i narodowe i niczem stłumić się nie dało. Moglibyśmy dziś złożyć listę całą bohaterów, co się nie ulękli terroru i wybrali raczej śmierć nad sprzeniewierzanie się swym najświętszym zasadom. Oni pierwsi, krwią swoją męczeńską a za nimi ci wszyscy, co idą w związkach chrześciańskich zawodowych, rosnących z dnia na dzień, pokazują nam wymowniej niż wszelakie słowa, kędy prowadzi droga do socyalnego odnowienia.

Pomóżcież więc organizacyom, zawodom dopiero się rodzącym i z pieluch wychodzącym; podeprzyjcie i otoczcie tych ludzi, co nieraz z narażeniem się własnem idą by je zawiązywać lub im przewodniczyć; odezwijcie się do rzeszy robotniczej na tyle pokus dziś wystawionej: damy wam, w kierunku waszych interesów ziemskich to wszystko co oni wam dają.

Damy wam nawet więcej. Bo w miejsce

złudnych obietnic, rzetelną i wytrwałą, wam poświęconą, pracę.

Damy wam też miłość, która nie szuka was dla siebie, ale daje siebie dla was.

Oto dusza programu, którą w ciało obleczcie.

W ludności wiejskiej główny jeszcze nacisk kłaść potrzeba na problemy duchowe i intelektualne; ale i tu dopełniajcie je organizacyami ekonomicznemi.

Deputowany francuski ks. Lemuire w swoich wędrówkach po górskich kantonach zwykł na zgromadzeniach ludu wiejskiego, księży i nauczycieli każdego przez się odwiedzanego dystryktu poddawać pytania, któreby śmiało posłużyć mogły za podręczny kwestyonaryusz dla akcyi ekonomicznej we wsiach.

Czy jest w waszym powiecie szkoła zawodowa rolnictwa?

Czy macie oddzielony kawał pola dla eksperymentów nauczycieli?

Czy uczęszczacie na konferencye profesora okręgowego rolniczego?

Czy macie naukę gotowania przy szkółkach dziewcząt?

Czy macie przy szkółkach waszych naukę praktyczną mleczarstwa? O to przecież tak łatwo, a takie stąd wielkie korzyści.

Czy w seminaryum, księże proboszczu, jest kurs rolnictwa i instytucyi socyalnych rolniczych?

Co uczynią jutro ci młodzi kapłani, których wyślą do tych wiosek górskich, skoro się na tem nie znają?

O czemże mówić będziecie wy, proboszczowie wiejscy, do waszych włościan, wy, którzy z tradycyi samej ich obrońcami jesteście?

Czy kursują wśród was biblioteczki rolnicze, które są nieodłączne w tych czasach postępu, gdzie nic nie żyje bez odnawiania się, a gdzie wszystko odnawia się przez wiedzę?

Czy wasze dzienniczki podają notatki i kroniki rolnicze?

Czy założyliście kasy rajfeisenowskie? Czy macie kooperatywy kupna i sprzedaży np. sprzedaży mleka etc. etc.

Oto suggestywne myśli, z których można wybierać, stosownie do potrzeby i warunków.

Akcyi sekunduje prasa. Akcya sama bez prasy i wogóle bez akompaniamentu słowa żywego czy pisanego, nie wystarczy tam, gdzie prasa wroga skrzętnie pracuje, by podkopywać zaufanie do osób, by nicować ich zamiary, by ośmieszać dzieła, by wreszcie rzucać się na wiarę, czy to pod pozorami naukowej formy, czy też w inny sposób.

Nie łudźcie się tym ani spuszczajcie się na to, iż lud sam zdolen jest przejrzeć niedorzeczność kłamstw i złudność obietnic.

Iluż to ze sfer inteligentniejszych daje więzić swoją całą opinię ostatniemu artykułowi przeczytanego dziennika, a my chcielibyśmy widzieć lud krytycznie wyszkolony i to w chwili, kiedy drukowane słowo jest dlań nieomal nowością i wierzy mu też, jakby ewangelii.

Niechże więc wasze gazetki, niby lotne ptactwo niebieskie, wszędzie na skrzydłach swych zdrowe roznosi idee; niech dotrze tam, przy pomocy agitacyi i kolportażu, gdzie złe i obłudne słowo dociera; a niechaj ścierając się z błędem, będzie też rzecznikiem zdrowych interesów ludu, tak, by nie potrzebował czytelnik czy w bluzie robotniczej czy pod wiejską chatą gdzie-

indziej szukać nauki wiary, a gdzieindziej znowu słusznej obrony jego potrzeb i interesów.

Oto próbki programów.

Pracując nad nimi, nie różniczkujcie sił, lecz dbajcie o skupienie i zjednoczenie.

Nie czyńcie nadewszystko sztucznych podziałów, do jakich zaliczam dzielenia samą nazwą.

Myślę, że uwaga ta nie jest zbyteczną, tam bowiem gdzie jeszcze niema socyalnego wyrobienia, gdzie pierwsze stawia się na tem polu kroki, nie trudno o złudzenie, iż ta socyalna organizacya jest lepszą, która szczytniejszą nosi nazwę;—a że nazwa „katolickiej" etykiety jest najwyższą, więc z wyżyn jej dokonywa się segregacya na organizacye niższego typu i wyższego.

O podobne złudzenie tem łatwiej, o ile właśnie w początkach często ma się skłonność zastępywać brak realnych programów jakąś nazwą wedle starej metody ujętej w dwuwierszu poety: „Wo der Gedanke fehlt, da stellt das Wort sich ein!" A nietylko brak idei, lecz sama chorobliwość niedomagająca sądzi, że się pod wielkie imię schować i niem przykryć potrafi.

Jakaż ztąd nieobliczalna płynąć może szkoda.

Daleki jestem od tego abym uderzał na nazwę katolicką kładzioną na organizacye; tylko uważam nazwę za rzecz taktyki, nigdy zaś zasady; jeśli taktyka tego wymaga, jeśli w imię tej nazwy lepszego zrzeszenia ludzi dokonacie, jeśli zwłaszcza pewni jesteście sił waszych moralnych, iż ją godnie uniesiecie i około tej na-

zwy jako wielkiego sztandaru innych poprowadzicie, to i kładźcie ją.

Ale nie chciejcie znowu tą nazwą patentować każdą akcyę; albo odsądzać dzieła społeczne od ich wartości i prawowierności dlatego, że włożyły na się i przybrały inną.

Nie mieszajcie więc, wołam raz jeszcze—taktyki z zasadą.

Gdyby o katolicyzmie instytucyi nazwa rozstrzygała, tobyście się musieli wtedy zwrócić np. przeciw samemu Leonowi XIII, który demokracyę pozwala nazywać chrześciańską, albo przeciwko takiemu centrum niemieckiemu, które wyraźnie oświadczyło, że nie jest partyą wyznaniową, albo przeciw dużym dziennikom katolickim, które inną etykietę przyjęły, lub wogóle przeciw tysiącznym organizacyom w obozie katolickim, które tysiące nazw noszą, bez wyraźnej wszakże firmy katolickiej.

Zostawcież więc wolność innym.

Uszanujcie taktykę tych katolików, którzy mówią: „Nie bierzemy tej nazwy wzniosłej na publiczne związki, bo się liczymy z tymi, którzy chętnie przyznają się do katolicyzmu w domu i w kościele, ale nie rozumieją jeszcze dobrze katolicyzmu społecznego, usuwają się, gdy etykietę społecznie dla nich niezrozumiałą obaczą; nie używamy tej nazwy, bo nie czujemy się na siłach wnieść odpowiedzialność za ideał, który wywieszamy, a którym mierzą każdy krok nasz i każdą myśl naszą".

Lecz i wtedy nie bierzcie też za złe innym, jeśli się jednoczą w dobrej sprawie z organizacyami, jak długo te nie mają celów religii przeciwnych.

Tu jeden przykład dla ilustracyi przyto-

czę, skrojony ze stosunków bliżej mi znanych austryackich.

Oto jeden ze znanych wiedeńskich jezuitów wziął się przed laty w ten sposób do uchrześcianienia Wiednia, iż garstkę ludzi gorących we wierze porozmieszczał w różnych związkach istniejących społecznych. Ci zwolna pracą swoją i wpływem swoim wybijali się i opanowywali posterunki. W ten sposób przy udziale innych czynników powstawała partya późniejsza chrześciańsko-socyalna.

Nie brakło we własnym obozie takich, którzy nazywali tę taktykę rozwadnianiem katolicyzmu. W swoim czasie udawali się nawet do Rzymu ze skargą na to, ale Leon XIII bystro przejrzał stosunki i skargę odrzucił, wodzów nowej partyi odznaczył.

Dziś można z nią sympatyzować lub nie, lecz przyznać się musi, że stanowi ona siłę i przyszłość elementu chrześciańskiego w Austryi.

Zjednoczcie do walki z anarchią i żywiołami wywrotowymi wszystkie siły.

Nie patrzcie przez powiększające szkło na kwestye, które dzielą, a przez pomniejszające na te, które łączyć mogą.

W czasach zwłaszcza burzliwych i gorących trzeba nam się łączyć w imię dewizy ewangelicznej: „kto nie jest przeciwko wam, ten jest z wami".

Patrzyłem własnemi oczyma na to, jak pod znakami złocistych nadziei, budziły się organizacye do życia, ale patrzyłem także i na to, jak te same związki później zanikały, jak ich różane kolory bledněły, aż w końcu i uwiąd nadszedł.

Dzieła te nieraz z tych przyczyn zanikały,

że ludzie, co je w ręce brali, nie powoływali do współudziału tych co na gruncie takich samych zasad społecznych stali. Sami zaś w małej grupce osób zamknięci, nie umieli podołać dziełu. Zizolowani, odcięci, pozbawieni fachowych wiadomości, nieraz szerszych kręgów myśli, w końcu padali znużeni, pomimo wszystkich wysiłków gorącego, szczerego zapału, nawet poświęcenia.

A więc raz jeszcze wam wołam: jednoczcie się, a nie dzielcie!

Tu już się odzywam do wszystkich w narodzie, niechaj jedni t. j. świeccy nie traktują kleru jakby jakiejś kasty, nie oddzielają w kapłanie obywatela od sługi kościoła, nie narzucają mu jakiejś kontroli dla jego uczuć obywaskich, niechaj więc bez potrzeby i sztucznie nie budzą wśród duchownych pokus nieufności, pokus zamknięcia się w sobie i odgraniczenia, pokus wytwarzania pierwiastku takiego właśnie, jakiego niechcą i jakiego się słusznie lękają: a niechaj z drugiej strony kler weźmie sobie za hasło przewodnie słowa papieża Piusa X: „Instaurare omnia in Christo"; niechaj w szczególności w imię praktycznych wskazówek tego Papieża, przykładają rękę do dzieł socyalnych.

Kiedy już idzie nie o robotę tylko, lecz o samo przewodnictwo i tytuły, niech wysuwają się tam jedynie naprzód, gdzie tego konieczna zachodzi potrzeba.

Niechaj jednak ulegają jej zawsze z tą myślą i tą intencyą, że w dziełach socyalnych i społecznych mają raczej działać przy pracy powszedniej, przez inicyatywę dokoła siebie szerzoną, przez dobieranie i wyrabianie ludzi, i przygotowywanie ich na przyszłych kierowników.

Jedności obręczą niechaj wam będzie

wspólnie pojęty i umiłowany ideał chrześciańskiej demokracyi.

Jest on dość szeroki i przestronny, by mógł pomieścić w sobie ludzi rozmaitych klas i różnych politycznych stronnictw. Tu jednak trzeba sobie zdać przedewszystkiem dobrze z tego sprawę, czem chrześciańska demokracya nie jest.

Nie jest ona walką klas, nie jest też reprezentantką tylko jednej klasy, nie musi też być— aczkolwiek może demokracya chrześciańska — w ogólnym—urzędowym powiedziałbym pojęciu, naszkicowanym nam przez Leona XIII i Piusa X-go—stronnictwem politycznem, i dlatego zostawia wolność każdemu, by sobie wybrał taką organizacyę socyalną lub polityczną, która mu najwięcej odpowiada, a raczej, która mu się zdaje być najodpowiedniejszą dla jego kraju i dla jego pracy.

Program jej, jakkolwiek obejmuje każdą wogóle akcyę kościoła nad ludem, to jednak przedewszystkiem jest programem ludowym w ewangelicznem tego słowa pojęciu, o ile broni słusznych praw pracy przez kapitalizm zdeptanych;—i o ile w harmonię wprowadza interesa klasowe z ochroną interesów ekonomicznych ludu.

Rozwija go śmiało ścierając się z egoizmem klasowym z jednej strony, a umizgami socyalizmu z drugiej.

Lecz na tym nie koniec. Bo jeszcze masy muszą mieć idee programu spopularyzowane, muszą one dotrzeć do każdego nieledwo mieszkania, najmniejszego miasteczka i najbardziej ukrytej wsi; muszą go uzbroić od stóp do głowy przeciwko wszystkim sofizmatom, wszystkim błędom i oszustwom, i muszą mu dać w ręce ja-

sną świadomość czego się może spodziewać i czego nie może i jaki jest zakres jego własnego współdziałania.

Jakiejże to olbrzymiej po temu pracy potrzeba, usilnej a wytrwałej, skoncentrowanej w ogólnym programie, ale zarazem rozlanej na tysiące szczegółów. Jakiej znakomitej organizacyi, jakiego mnóstwa pism, jakiego źródła niewyczerpanego instrukcyi i nowoczesnego sposobu agitowania, by tak olbrzymiego dzieła dokonać.

Program to trudny, program wielki, ale program konieczny, zarówno w interesie narodu jak i idei katolickiej.

Jeden z dzienników francuskich przyniósł niedawno rozmowę z pewnym robotnikiem, który od 20 lat znał z codziennego zetknięcia się doskonale sposób myślenia i nastrój duchowy swoich współkolegów: „Nie są oni antireligijni—powiedział o swych towarzyszach—ale w pewnem znaczeniu antiklerykalni, gdyż sądzą, że kler jest przeciwnikiem klasy pracującej i reform socyalnych, zarówno jak demokracyi".

Zapewne, że nad wyrobieniem takiego uprzedzenia w robotniku francuskim, pracowała prasa bezbożna i organizacya wywrotowa, ale czemżeż innem może się obalić ów niebezpieczny preiudykat, jeżeli nie pracą socyalną, która eksperymentalnie do ócz i do uczucia mas przemówi w maxymie, tak pięknie ujętej przez Leona XIII: „Kościół nie oddaje się tak wyłącznie uświętobliwianiu dusz, żeby zaniedbywał wszystkiego, co znikome i ziemskie. Co zaś do klas roboczych, usilnie pragnie tego, aby dźwignęły się z nędzy i pozyskały byt pomyślny".

Jeśli nie zilustrujemy intencyi Kościoła w naszym kraju przez wielki a realny program ekonomiczny i socyalny, to znajdą się niestety i u nas aż nadto liczni tacy, którzy skutecznie serca ludu od ideału Kościoła i katolicyzmu odciągną, siejąc z łatwością uprzedzenia, które nie najdują jednak korektury w czynach i dziełach obozu katolickiego i narodowego.

* * *

Mówiąc o idei zjednoczenia, potrącę mimochodem jeszcze o praktyczne odbicie się jej w próbach związków centralnych, które mają łączyć i sprzęgać organizacye gotowe.

Wszelkie centralne organizacye mogą mieć w sobie pokusę w chętce uniformowania poszczególnych stowarzyszeń, co, choćby bezwiednie i w najszczerszej woli pomyślane, odbierałoby poszczególnym stowarzyszeniom ich właściwy koloryt, indywidualność, nawet autonomię,—i w uciskach biurokratyzmu socyalnego zdławiłoby samo ziarno zdrowe i sam swobodny ruch socyalny.

Mogą one mieć także pozory narzucania swojego autorytetu lub swojej pieczęci,—co również zabójczo działa, zwłaszcza jeśli pozory władzy nie idą w parze ze zdobytemi zasługami, albo, jeśli wytwarzają sztucznie opinię, iż należenie lub nie należenie do podobnego związku, daje markę lepszej lub gorszej firmie katolicyzmu, wtedy bowiem to, co miałoby być środkiem skupienia i związania, przemienia się w petardę rozsadzającą życie społeczne i łączność narodową.

Natomiast wszelkie takie związki są bardzo

wskazane, jeśli za dewizę swoją biorą: „chcemy obsłużyć, a nie rządzić", i jeśli oczywiście praktycznie są obmyślane.

Za najidealniejsze związki centralne uważam socyalne sekretaryaty, które są po prostu biurami wywiadowczymi i biurami pomocy dla mających powstać dopiero, albo już istniejących dzieł.

Wyobrażam sobie, że w takim centralnym zarządzie byliby przedewszystkiem ludzie fachowo wyszkoleni i wykształceni w różnych kierunkach socyalnych i ekonomicznych, u którychby zarówno kapłani jak i świeccy, mogli znaleść potrzebne wskazówki i potrzebną pomoc przy zakładaniu i kierowaniu rozmaitych organizacyi.

Personel tedy takiego centralnego zarządu miałby za zadanie w granicach swojego terytoryum przygotowywać, zakładać, organizować, a gdzie jest o to wyraźnie proszony, nawet nadzorować dzieła socyalne, służąc im zarówno swem doświadczeniem, jak potrzebnymi dokumentami. I w ten sposób nie nadając nigdzie swojej marki, jakby anonimowo i bezpretensyonalnie zasilać każde dzieło socyalne, które tylko nie stoi na gruncie wyraźnie antikościelnym i na sztandarze swoim wypisuje hasło walki z prądami wywrotowymi.

* *

Nie podobna mi nie dotknąć jeszcze jednej bardzo drażliwej a niesłychanie ważnej sprawy, to jest stosunku działalności katolickiej do władzy.

Widziałem to z obrad waszych, że i ta

sprawa potrzebuje wyświetlenia, które najłatwiej i najskuteczniej jest uczynić właśnie obcemu biskupowi.

I tu się należy strzedz skrajności pojęć: jedni są skłonni, by władzę okroić, inni by ją co krok i za wszystko odpowiedzialną uczynić.

Prawda tkwi w pośrodku.

Tym, którzyby radzi byli wszystko zpod zakresu władzy duchownej usunąć, co tylko wprost i bezpośrednio do religii się nie odnosi— oto co odpowiem: Jakkolwiek są sprawy i kwestye, które w bezpośredniej łączności z wiarą nie zostają, to jednak zdarza się, że pośrednio z ideałami wiary jednak są w związku. Zwłaszcza w chwilach gorętszych lub przełomowych, gdzie jednolitość kierunku jest konieczną, a kwestye społeczne z natury rzeczy żywiej i ściślej z Kościołem się sprzęgają.

Ktokolwiekby wówczas chciał w zarządzeniach władzy ściśle segregować i dział religijny w rozporządzenia objęty tej władzy pozostawić, dział zaś inny w dziedzinę społeczną wchodzący pod inną oddać komendę, ten się ani opatrzy, jak tem samem zaszachuje i sam element religijny, ten bezpośredni zakres władzy.

Ale też z drugiej strony — a cieszę się, że mogę te słowa tu mówić wobec Najdostojniejszego Episkopatu tutejszego — obarczają najniepotrzebniej władzę duchowną ci, którzy ją wciągają w sprawy, jakimi się zająć władza duchowna, już ze względu na nadmiar swych prac nie może, i za jakie tem samem odpowiadać ani to tej władzy możliwem ani sposobnem. Bo przecież żądać od tej władzy aprobaty dla każdego z ludzi działających, pod firmą tejże władzy urządzać np. organizacye sklepowe,

ekonomiczne czy inne, których władza dopatrzyć nie może, nie jest w stanie—a za nie odpowiadać musi, — to znaczy tyle, co najgorszą przysługę władzy duchownej oddawać a równocześnie zabijać każdą prywatną inicyatywę, która z natury w kierunkach zakreślonych musi mieć pewną swobodę ruchów jak i poręczoną autonomię.

A już nie chcę pytać o to, czy przypadkiem takie rzekome ujmowanie się za większym autorytetem niema innej ukrytej myśli, właśnie pochodzącej z najlepszego przeświadczenia, że władza niezdolna odpowiedzialności na nią włożonej podołać, odda zarządzenia w ręce tych, co pod pieczęcią autorytetu własnych korzyści strzedz zechcą.

Jeśli mam moje doświadczenie, uzbierane ze wspólnych konferencyi biskupich, z wami podzielić, to powiem: wierzajcie mi, nie jest często pożądanem dla nas zbyt rychło i pośpiesznie wypowiadać się w niejednych sprawach praktycznej natury, a wprost już niepożądanem dźwigać odpowiedzialność za dzieła, zwłaszcza takie, które nie wypróbowane zostały w ogniu doświadczenia.

Często stawią nam na stół do zatwierdzenia rzecz jakąś, samą w sobie niezłą, nie możemy jej odrzucić; ale czy to, co w sobie jest niezłe, okaże się dobrem w praktyce; czy będzie dostrojone do warunków—o tem nam zawyrokować trudno.

A wtedy wprost wolimy raczej ośmielić, poprzeć, skierować jakąś inicyatywę prywatną bez angażowania się wszakże osobistego, aniżeli

skutkiem zarządzeń przedwczesnych ponosić odpowiedzialność za nieudanie się sprawy nie dość wypróbowanej.

* * *

Idźmyż w nasz lud, świeccy i duchowni!

Rzućmy się wpław wpośród kłębiących się fal, by pośpieszyć mu na ratunek.

Nie zniechęcajmy się niczem, ani trudnościami zzewnątrz, ani przeszkodami wewnątrz nas, — jak egoizmem i lenistwem; ale najmniej zniechęcajmy się do ludu samego.

Jeśli widzimy złe w nim, to nieraz może przyjdzie uderzyć się nam w naszą własną pierś i policzywszy nasze zaniedbania lub nawet zgorszenia zawołać: „peccavi!"

Ach! ileż bogactwa się kryje w duszy naszego ludu!

Przeciwstawicie mi może jego obłąkanie się, którego objawy najświeższe wszystkim są znane?

Ależ odpowiadając, zapytam: czy ów wichrowaty ascetyzm i zatruty mistycyzm nie potrzebuje także gleby dla siebie? czy przyjąłby się na roli mniej rzeczom duchownym podatnej?

O istotnie! nawet w tem fałszerstwie religijnem ileż jednak czynnika religijnego! w tym obłędzie mistycznym, ileż zdolności do odczuwania rzeczy nadświatowych! w tym uwiedzeniu ileż szczytnego obłędu! w tej duszy popsutej ileż jednak jeszcze głosów, ileż ech potężnych, szumiących niby bory prastare potężnie!

Jakaż to bogata dusza tego ludu! Nie,—lud taki, jak lud nasz, nie samym chlebem żyć po-

trafi! Pójdzie on po mannę z nieba, gdyby nawet przez uwiedzenie i przez niewiadomość miał jej szukać w kałuży . . . . .

. . . Idźmyż w nasz lud! . . .

Wszystkie rozważania moje o stosunku katolicyzmu i cywilizacyi zamknę wejrzeniem ku Chrystusowi Jezusowi.

Wiek ten tęskni i pragnie Jezusa Chrystusa.

Przed pięćdziesięciu laty, w epoce, gdy pisał Renan, wołano Mu wśród kadzideł: odejdź od nas, nie potrzebujemy ciebie!

Dzisiaj inaczej. Dzisiaj ludzkość przyzywa Go ku sobie, a choć Go nie zna, instynktownie czuje, że w Nim jedyny ratunek w ogólnej powodzi.

Dziś też inaczej piszą o Chrystusie. Dziś wołają mu: Zbawco nasz, zejdź ku nam! Tak mówią ci, co z epoką żyją, bo o tych zabłąkanych Donkiszotach, co odgrzebują na gwałt zapomnianego gdzieindziej Renanowego Chrystusa, by za pomocą niego obedrzeć z wiary społeczeństwo w chwili, gdy ono najbardziej Chrystusowego światła i siły potrzebuje, o tych przecie wspominać niepodobna, zwłaszcza gdy się o wielkich prądach naszych czasów mówi.

Nawet ich nienawiść dziś musi wydać się pozą, nieraz wprost śmieszną pozą próżności.

Lecz mówiąc o prądach ogólnych, czyż mogę przepomnieć Polskę?

Na lutni swej wieszcze narodu podnosili ją ku Chrystusowi wonczas, gdy dokoła jeszcze szumiała nawała pozytywizmu.

Jakże dopiero dziś kształtowanie Chrystusa

w narodzie jest już samą potrzebą zdrowej intuicyi narodowej.

Wonczas wchodził Chrystus przez gęśl wieszczą jako uczuciowy pierwiastek życia narodowego, który koił, podnosił przez miłość i nadzieję. Dziś tego samego potrzeba; ale nadto jeszcze niechaj Chrystus zejdzie ku nam przez swoją zasadę.

Podówczas utęskniony jako pocieszyciel i koiciel, dzisiaj nam jeszcze niezbędny jako wychowawca, który na nowych drogach kształtuje swój naród. Wówczas wchodził do dziejów przez tchnienie i powiew chrześciański; nie zatrzymuje się więcej tu, albo więcej tam, wszędy wnika nie segregując i dzieląc, albo mierząc.

Dzisiaj potrzeba rozłożyć to, co jest składnikiem życia dziejowego, i wprowadzać Chrystusa kolejno w literaturę, sztukę, historyę, pracę czynną i zawodową, społeczną i polityczną, a wprowadzać go mierząc, kształtując, formując.

Słowem, dziś wedle hasła Papieża potrzeba „omnia instaurare in Christo!"—wszystko odnowić w Chrystusie.

Zejdźcie-że, o Panie, ku epoce naszej, zejdź ku dziejom naszym, na nowych drogach snuj dalej ich przędzę.

* * *

Lecz i my przybliżmy się do Niego ujednoczeni w Nim. Bądźmy jedno! Oto me wezwanie ostatnie ku wam, a jeśliście dobrze uważyli, brzmiało ono w mych przemówieniach wciąż i wiło się jak nuta główna, z której wychodziłem i ku której powracałem.

Pozwólcie sobie powiedzieć: w dzisiejszej dobie walki i zapasów wszystko na nic, jeśli się nie zjednoczycie.

Sama Opatrzność zdaje się przez ostatnie wypadki ku niej Was przyzywać. Kto wie, może nam jeszcze potrzeba było pracy w głąb; może jeszcze nie dość bezpiecznie było nam żyć sukcesami za sobą, i przez to uledz pokusie przeoczenia potrzeb pracy nad zjednoczeniem sił.

A nie umiemy czytać dróg Opatrzności.

Spójrzyjmy przed siebie.

Ciężkie idą na was czasy, a z zewnątrz wali na was widmo straszliwe anarchii myśli, anarchii ducha!

Mówicie: ono nam obce i duchowi naszego narodu.

Dałby to Pan, aby obce pozostało, by pierwsze upodobanie i apoteozy tego niszczącego potworu błąkające się po naszej literaturze były czemś zabłąkanem, byśmy zostali sobą i wichrowi rozkładu po naszych twarzach i po naszych duszach smagać się nie dali i nie dozwolili.

Ale czyż tak jest? czy nie zamroczyło ono i naszej myśli? lub czy nie sięgnęło naszych warsztatów, czy nie sięgnęło naszego ludu?

Zbliża się ono ku nam, zbliża się straszliwe, krwiożercze widmo i poprzysięgam was przez nie, poprzysięgam was przez łuny pożarów, co w perzynę właśnie ów chleb obracają, w imię którego wrzekomo się walczy; poprzysięgam was przez strugi krwi niewinnej, nie sztyletem wroga, ale przez broń bratobójczą wyciśniętej; przez wszystkie hańby i zniesławienia, przez wszystkie potworne i okrutne zbrodnie, przez morze łez, przez wszystkie rany serca

nie skrzepłe i krwią ociekające; przez te wszystkie ślady widma straszliwego—poprzysięgam was, zaklinam i wołam: bądźcie jednością!

Jeśliśmy za słabi, by się zdobyć na poświęcenie dla tej jedności, to zdobądźmy się na rozum, który ją w imię interesu nakaże.

Bądźmy jednością przez co chcemy i możemy: czy przez interes, czy przez miłość,—ale tylko bądźmy zjednoczeni. Ta biedna ojczyzna warta jest tego, by każdy z nas tu dziś do niej przystąpił i jej powiedział: nie chcę ja w tobie siebie szukać i panować, ale z zapomnieniem siebie, przez miłość pragnę cię obsłużyć.
